Wiléż

ROCZNIK I. ZESZYT 4.

d. 15 marca 1908 r.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA w Warszawie, przy ulicy Książęcej Nr 6 (tel. 9-03).

Redaktor i wydawca: H. St. PYTLIŃSKI



Rys. St. Wyspiański

WITEŹ

czasopismo społeczno-polityczne i artystyczno-literackie wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca w zeszytach niniejszego formatu —

każdy zeszyt zawiera 3 arkusze (48 stron) druku — zamiast dwóch zeszytów styczniowych niektóre z późniejszych są odpowiednio zwiększane (prenumerata liczy się od 1 stycznia).

W ubiegłym kwartale dodano na rachunek zeszytów styczniowych, ponąd zwykłą objętość pisma, 1 ½ arkusza druku (24 strony).

Prenumerata wynosi:

w Warszawie -- rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4, kwartalnie rb. 2, z przesyłką pocztową -- rocznie rb. 10, półrocznie rb. 5, kwartalnie rb. 2 kp. 50; zagranicą — rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3.

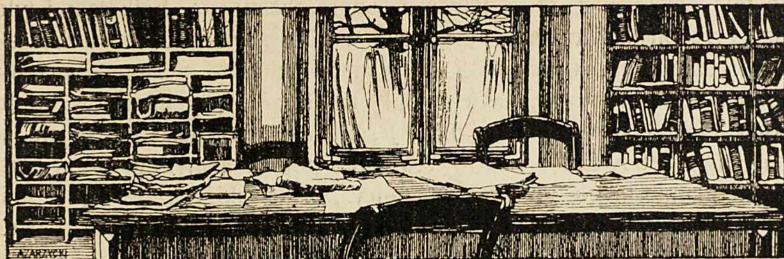
Cena ogłoszeń:

na ostatniej stronie okładki rb. 40, na przedostatniej stronie okładki rb. 35, na oddzielnych kartach (po tekście) po rb. 25—za całą stronicę, z odpowiedniem zmniejszeniem za ½, ¼ i ⅛ stronicy.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa, Książęca 6.**
Telefon 9-03.

Redaktor przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od 5 do 6 popoł.
Administracya otwarta codziennie od 11 rano do 5 popołudniu

Cena zeszytu 4-go: kop. 40, cent. 65, m. 1 fen. 10, fr. 1 c. 25.



WITEŹ

ROCZNIK I ≡ ZESZYT 4
Warszawa, 15 marca 1908 r.

ARTUR ŚLIWIŃSKI

Jedyna odpowiedź

Iluzye prysły. Projekt wywłaszczenia został uchwalony, a kto jeszcze niedawno przypuszczał, że sumienie, sprawiedliwość, godność człowiecza odgrywają jakąkolwiek rolę w polityce względem bezsilnych, ten musiał stracić resztki złudzenia. Brutalna ręka Prusaka zdarła zasłonę z oczu i niedwuznacznie ukazała perspektywę przyszłości. Do olbrzymiego łańcucha doświadczeń dziejowych przybyło nam jedno ogniwo więcej i zaświadczyło wymownie, że ów łańcuch przedłuża sią konsekwentnie i ciągnąć się może w nieskończoność. Wobec nowej zbrodni, która w biały dzień, w obliczu całego świata została dokonaną, śmiało należy spojrzeć prawdzie w oczy i z prawdy tej wyciągnąć naukę na przyszłość.

Czem broniło się społeczeństwo nasze wobec grozy wywłaszczenia, jakie sposoby i metody walki wybrało?

Projekt uchwalał rząd niemiecki, a myśmy grozili bojkotem gieszefciarzom niemieckim. To było jedyne konkretne hasło, które z powodu projektu wywłaszczenia padło. Ale to hasło grzmiało już dawniej. Ilekroć razy w ostatnich czasach dochodziły nas z Poznańskie-

go jęki katowanych ofiar, tyle razy odgrażaliśmy się bojkotem i tyleż razy przekonywaliśmy się, że gieszeft w Królestwie Polskiem zbyt silnie zrośnięty jest ze swoim kumem niemieckim, by pioruny oburzenia, miotane z łamów prasy naszej, mogły rozerwać węzły interesów kupieckich. Jakież szanse ma bojkot? Jeżeli nawet przypuścimy, że ani jeden fabrykant Niemiec w Królestwie nie poprze jednym groszem przemysłu niemieckiego, to jakaż gwarancya, że w takim razie rząd cofnie się z wytkniętej drogi? Cóż znaczy ruina choćby kilkudziesięciu przemysłowców niemieckich wobec niemieckiej racyi stanu? Bojkot, nawet udany, może być conajwyżej jednym ze środków, ale nie jedynym. Zacieśnienie sposobów walki wyłącznie do bojkotu, to przeniesienie sprawy bytu lub niebytu wyłącznie na śliski i niepewny grunt interesów ekonomicznych.

Na podeptanie godności człowieczej, na policzki, wymierzane przez junkrów pruskich, niedość jest odpowiedzieć pobrzękiwaniem trzosa. Sprawa wywłaszczenia nie jest sprawą kieszeni polskiej i to przedewszystkiem powinniśmy zrozumieć. Ciosu, zadanego wprost w serce, niemożna odeprzeć bojkotem.

Czemże jeszcze cios ten próbowaliśmy odeprzeć?

Niestety, powtórzyła się historya, którą dobrze, tak dobrze znają dzieje nasze ubiegłego stulecia.

Ile razy społeczeństwu naszemu, a przynajmniej jego części zaświeciła gwiazda nadziei, lub też fundament, na którym próbowano oprzeć gmach życia narodowego, zaczął się chwiać i grozić upadkiem, tyle razy powoływano się u nas na przeszłość i w przeszłości tej wskazywano prawa, rękojmie, gwarancye, traktaty, mające osłonić nas przed nowem nieszczęściem. Był to fatalny błąd, wypływający z nieznajomości naszej historyi. Historya bowiem świadczy, że każda gwarancya, niemal każda rękojmia była upadkiem o jeden szczebel niżej, była tylko oszukaniem naiwnych i słabych, jakimi byliśmy zawsze, kiedy zdawaliśmy się na łaskę traktatów. Ile razy wałem obronnym nie były własne serca i własne piersi, tyle razy nadzieje, oparte na wszelkich innych rękojmiach, doprowadzały do gorzkich zawodów i rozczarowań.

Nie znamy własnej przeszłości.

Nie wiemy, że wskrzeszając „wypadki historyczne" ubiegłego stulecia, powołujemy się najczęściej na smutny obraz własnego upadku,

obraz staczania się niżej i niżej. Sięgając w dalszą przeszłość, podobni jesteśmy do bezsilnego pisklęcia, które w drapieżnych szponach jastrzębia śpiewa o przeszłości swobodnej i lotach wysokich. Jakiż zresztą fakt historyczny mógłby przemówić tak potężnie i żywo, że głos jego zbudziłby sumienie junkra, skoro tego sumienia nie zbudziła zbrodnia?

Powoływać się na przeszłość, to znaczy: przypominać zbrodniarzom ich dawne zbrodnie, wskazywać drogę, po której konsekwentnie sto lat z górą pewnym i śmiałym krokiem stąpała przemoc. Powoływać się na przeszłość, to znaczy: wydobywać z trumny pamiątek najboleśniejsze dokumenty własnej bezsilności. Powoływać się na przeszłość i w przeszłości szukać obrony, to znaczy: stracić wiarę w teraźniejszość i przyszłość.

Przeszłość tylko w takim razie mogłaby budzić grozę i wstrzymać ciosy obucha pruskiego, gdyby teraźniejszość była dalszym ciągiem *tej* przeszłości, która podobne ciosy już odpierała. Niestety, role się zmieniły, a najświetniejsza karta, wyrwana dziś z księgi dziejów naszych, będzie conajwyżej tarczą ze zbutwiałego pargaminu, tarczą, budzącą tylko gniew i naigrawanie śród junkrów, uzbrojonych w nowoczesną broń gwałtu. Z przeszłości swojej możemy i powinniśmy wyciągnąć naukę wyłącznie dla siebie, ale na kartach historyi naszej nie uczmy butnego Prusaka, bo on tam jedynie wyczyta zachętę, przypomni sobie bezkarność wszystkich zbrodni, w ciągu całego stulecia popełnionych. Przeszłość — i tego niemożna dość silnie podkreślać — powinna być nauką wyłącznie dla nas samych. Ta przeszłość bowiem najwymowniej świadczy, że z chwilą, kiedy gwarancye pisała ręka obca, zaczynała się nowa era naszego upadku, że jedyną gwarancyą niezawodną była tylko gwarancya własnej odporności.

Złudzeniem jest wszelka autosugiestya, wywołana wspomnieniami przeszłości, i raz nazawsze złudzenie to należy odrzucić precz!

To jedna nauka, która powinna stać się powszechną zdobyczą.

Ale nie koniec na tem. Jeśli złudzeniem są nadzieje, oparte na przeszłości, to jeszcze niebezpieczniejszem złudzeniem jest oglądanie się wkoło, oczekiwanie, czy ktoś z boku, jakiś bezimienny dobroczyńca nie powstrzyma ręki pruskiej, potrząsającej zuchwale toporem gwałtu i bezprawia.

Taki dobroczyńca się nie znajdzie i o tem również mówi nam historya.

Kiedy po świetnym listopadzie tysiące rozbitków opuściły Polskę, wtedy nadzieja, pokładana w pomocy obcej, również rozgrzewała piersi wychodźców. A o ileż silniejsze podstawy miała ta nadzieja wówczas!... Na spotkanie żołnierzy polskich z dzisiejszych gniazd junkierstwa wylegały ongi nieprzeliczone rzesze mieszkańców i witały Polaków kwiatami i śpiewały im pieśni polskie. Pochód emigrantów ożywił poezyę niemiecką i malarstwo niemieckie, ale—co więcej!—podniósł ducha w ludzie niemieckim i obudził jego nadzieje. Dzisiejsze serce hakatyzmu, Lipsk, zapisał się w historyi emigracyi polskiej, jako najgościnniejsze miasto! A kraje niemieckie nie były wyjątkiem: te same objawy entuzyazmu budził Polak wszędzie. Dość przypomnieć sobie, że na żałobną wieść o klęsce zadrżała Francya, ocknął się Paryż i zaszumiał groźnie i gradem kamieni, skierowanych w okna ministeryum, wypowiadał swoją niezłomną wolę. Dość przypomnieć, że cała Europa ludowa widziała w Polakach bohaterów, a w losie Polski przeczuwała los własny i w tem strasznem przeczuciu niedwuznacznie potrząsała uzbrojoną dłonią.

Dziś wspominamy te chwile, jak poetycką opowieść, jak baśń, jak cudny sen, który rozpalił wyobraźnię i rozkołysał słodkie, lecz nierozsądne nadzieje. Przez ten sam pryzmat doświadczenia patrzymy na złudzenia, przyświecające działaczom z roku 1861, ale jednocześnie raz jeszcze tem samem złudzeniem próbujemy się zahypnotyzować.

Dziś zamiast kwiatów i pieśni polskich wita wychodźcę polskiego w Niemczech pogarda, czyha nań wyzysk, a w innych krajach nie wiedzą nic o cierpieniach i egzystencyi Polaka. Mimo to nie dajemy za wygranę, staramy się poruszyć opinię Europy, zbudzić jej uśpione sumienie.

Ongi odwoływaliśmy się do gabinetów i królów, później do ludów, dziś znowu odwołujemy się do sprawiedliwości, ba! przemawiamy w imię świętych praw ludzkich i w imię tych praw każemy przemawiać uczonym, artystom, poetom, literatom, dziennikarzom cudzoziemskim. Po co? Cóż przyjdzie z tego zarzynanemu człowiekowi, że morderstwo i gwałt, dokonywany nad nim, ludzie uczciwi nazwą morderstwem i gwałtem? Czyż doprawdy zależy nam na takiej opinii, czy istotnie wierzymy jeszcze, że głos ludzi czci i sumienia ma

dziś jakiekolwiek znaczenie? Czy te grzeczne słówka, ta filantropia ludzi bezsilnych jest istotnie dla nas pociechą? Straszną byłaby taka pociecha! Powiedzmy sobie nareszcie, że rozsyłanie ankiet może być aktem dobrej woli, ale dodajmy odważnie, że w tych ankietach jest jeszcze rezygnacya śmierci, przeczucie zgonu. Chyba nikt się nie łudzi, że istnieją słowa, które byłyby zdolne powstrzymać świadomy czyn zbrodniarza; chyba nikt nie wątpi, że czynom nie słowa, lecz czyny przeciwstawiać trzeba!.. A cóż nam dają ankiety?.. Tylko słowa, słowa, słowa... Powiedzmy nareszcie, że jest to najlichsza forma jałmużny, rzucona do pustej kiesy żebraka. I powiedzmy jeszcze, że codzienne dawki filantropijne, ogłaszane *urbi et orbi* przez nasze gazety, są pięknym fajerwerkiem, który efektownie rozbłyska nad otchłanią zbrodni, lecz jednocześnie oślepia oczy i otchłań tę przesłania...

Nie łudźmy się!.. Niema takich kart w naszej historyi i niema takich ankiet, któreby powstrzymały ciosy, grożące bezsilnym. I niema takiego współczucia, wyrażonego słowami, któreby cofnęło choć jeden projekt, ukuty w kuźni hakatystycznej. Trzeba z tego zdać sobie sprawę i powiedzieć śmiało, że gdyby zamiast milionów, przeznaczonych na wywłaszczenie, miliony te przeznaczono na szubienice, na których zawisnąćby mieli wszyscy wyrzuceni z ziemi Poznańczycy, to ani jedno serce w Europie nie pękłoby ze współczucia, to skazańcy, idący z pokorą na miejsce kaźni, wywołaliby tylko pogardliwą litość, tę samą litość, jaką świat cywilizowany żywił dla mordowanych bezkarnie murzynów. Z chwilą, kiedy Polak w Poznańskiem wyjęty został z pod praw ludzkich, z chwilą tą śmieszną rzeczą stało się odwoływanie do uczuć człowieka!...

Wywłaszczenie jest sprawą zbyt poważną i zbyt doniosłą, aby zamykać ją w ramach bojkotu. A zresztą nie możemy liczyć z całą pewnością na dodatnie jego wyniki; nie możemy również liczyć ani na swoją przeszłość, ani na cudzą pomoc, ani na uczciwą opinię Europy, ani na sprawiedliwość. Przeszłość doprowadziła nas do... wywłaszczenia, pomoc cudza nigdy nie była większem złudzeniem, niż w chwili obecnej, uczciwa opinia—jak świat światem—nie rządziła ujarzmionymi, a sprawiedliwość zawsze ustępowała przed siłą. Wszystko, na co mogliśmy liczyć zzewnątrz, straciliśmy już dawno, dziś pozo-

stała nam jedyna deska ratunku i zbawienia: dziś możemy liczyć tylko na siebie.

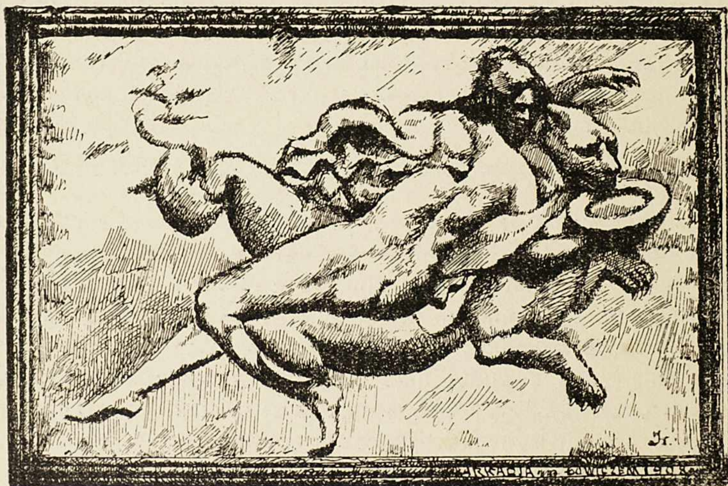
Słusznie powiada Mochnacki:

„Naród, który nie przestał być jeszcze narodem, w jakimkolwiek stanie się znajduje, tylko sam siebie ratować może".

I to już wszystko, co dziś możnaby zagrożonemu w bycie swoim ludowi w Poznańskiem powiedzieć.

Ustawy o wywłaszczeniu nie wywołały nienasycone apetyty junków pruskich, nie stworzył jej kanclerz Bülow, nie wprowadziła jej w życie nienawiść rasowa Prusaków. Przyczyna wywłaszczenia jest tylko jedna, a tą przyczyną jest bezsilność. I jedynie — siła, siła, płynąca z głębokiego poczucia krzywdy, może stworzyć mur obronny, o który się rozprysną wściekłe fale hakatyzmu junkrów. Tylko siła może poprzeć argumenty, czerpane zbytecznie z historyi, tylko siła wytworzyć może uczciwą opinię w Europie, wywołać pomoc, wskrzesić sprawiedliwość.

Prawdą niezawodną jest: nie zbrodnia budzi sumienia, lecz odpowiedź na zbrodnię.





JAN KLECZYŃSKI

Szlachta w końcu XVIII wieku

II

Szkic

Korzon pisze, że Zajączek „dla uraz osobistych i gwoli miłości własnej rozpuścił po świecie oszczerstwa na szlachtę lubelską". Prawda, że dwa razy przerywały czynnności komisyi lubelskiej wojska nieprzyjacielskie, że to województwo żywiło (lecz żywić musiało!) Grochowskiego dywizyę, dopóki nie złączyła się z Kościuszką, dało ludu zbrojnego Zajączkowi, i że na Pradze 8-go listopada 1794-go znajdował się regiment z lubelskiego do 1,000 ludzi liczący. Chętnie znowu przyznaję Zajączkowi przesadę, ale czy były to wysiłki odpowiadające zamożności tego województwa? Wątpię. Co zaś do Chełmskiego, to niezbyt pochlebne o niem wiadomości czytamy u Korzona o *popłochu*, jaki wzbudziło przejście wojsk rosyjskich przez Bug, o wyjeździe komisyi i jej powrocie dopiero po wkroczeniu Haumanna i Wedelstelta, o *rozpuszczeniu pospolitego ruszenia* i powtórnem, późniejszem jego zwołaniu, pod presyą oskarżonego Zajączka...

Wreszcie zaś *Wołyń, województwa bracławskie* i *podolskie* „najrozleglejsze i najbogatsze prowincye Rzeczypospolitej, *nie wzięły wcale udziału w powstaniu*—co Korzon z bólem przypisuje demoralizującym wpływom Targowicy i obawie przed hajdamakami.

Wobec tych faktów i rozumowań, wobec tego, że szlachta, wprawdzie o pięć miesięcy zapóźno, lecz *samodzielnie* powstała jedynie przeciw Prusom w Wielkopolsce, że *zaczepnie* walczyła tylko nad Narwią i zpoczątku — na Żmujdzi, sądzę, że wartoby złagodzić surowy wyrok o pamiętnikach dzielnego jenerała, któremu wiele pojedyńczych zdarzeń wyjść mogło z pamięci, lecz którego, powtarzam, *ogólne wrażenie* o usposobieniu szlachty było niewątpliwie trafne, choć zapewne przejaskrawione.

Sądy Zajączka znajdują pośrednie potwierdzenie skądinąd.

„Większa część właścicieli nie puszczała chłopów, lub od pozostałej rodziny wymagała pańszczyzny — pisze Kraszewski — co zmusiło później Kościuszkę do wydania prawa, zakazującego domagania się jakiejkolwiek służby z chat, które dały żołnierza na wojnę".

Pańszczyzna!!

Tu jest jądro rzeczy. To klucz do zrozumienia postępowania szlachty. „Szlachcie, interesowanej o uwiecznienie niewoli i zachowanie życia wieśniaka, który jest bogactwem, powszechnie nie podobał się ten środek powstania (poruszenie mas), jako wszystko złe wróżący. Tak to *chciwość niema żadnej ojczyzny*, żadnych wspaniałych ofiar" [1]).

Więc dlatego szlachta uważała uniwersały Kościuszki (np. Un. dany w Połańcu), dające ulgi chłopom, za „naruszenie własności", za „zamach na wolność" [2]) — choć opierać mu się jawnie nie śmiała.

Oto wstęp do Uniwersału Połanieckiego. Słowa są Kościuszki:

„Z żalem wyznać to muszę, że często *srogie obchodzenie się z ludem* daje miejsce Moskalom do powszechnej na cały naród potwarzy. *Odbieram ustawiczne skargi od żołnierzy i rekrutów*, że żony i dzieci ich nietylko żadnego osłodzenia nie mają, ale za to prawie, że służą Rzeczypospolitej ich mężowie i ojcowie, wystawieni są na większe uciążliwości. Takowe postępki w wielu miejscach są zapewne bez wiedzy i przeciw woli dziedziców, lecz w drugich muszą być skutkiem złej chęci, lub obcego natchnienia, aby zupełnie zapał do obrony ojczyzny w sercach ludu ostudzić" [3]).

Lecz gdyby nie było nawet współczesnych świadectw o tej chciwości „stanu rycerskiego" w Polsce, to przecież wystarczyłyby nam wspomnienia późniejsze, choćby z 1831 roku, kiedy w burzy wojennej i tak wielkim jak się zdawało zapale — tak mało dla włościan uczyniono, tak prawie nic. Ówczesne obrady sejmowe dowodzą tego jasno, jak niemniej pamiętnik Deczyńskiego. Powtarzało się to samo: szlachta zazdrosna była o swoje olbrzymie prawa. W r. 1831 również obciążano rodziny chłopów, co poszli się bić z wrogiem, pańszczyzną [4]).

Przyjrzyjmy się, czem były owe obowiązki chłopa dla pana, jakiej to wolności strzegła szlachta przed rewolucyjnemi (!) dążeniami Kościuszki.

Kraszewski zamieścił w tej kwestyi następujące dane, wyjęte z dzieła wydanego r. 1790 p. t. „Uwagi praktyczne o poddanych polskich":

„Służyli z roli kmiecie w koronie z półwłóki z sześcią wołami

lub czterema końmi po cztery, pięć, sześć dni; do wożenia nawozu rozprzęgali się na dwa wozy. Komornice za mały datek pracowały na pańskiem; oprócz tego dawano czynsze, oprawę z płócien, jaja, kury, powaby poczostkowe i t. p. Zagrodnicy służyli pieszo. Wywóz towarnego drzewa z lasu liczył się do obowiązków. Na Litwie odrabiano po sześć, pięć, do trzech dni, napół ze sprzężajem... szli na gwałty; były daniny z chmielu, grzybów, orzechów, zsypy, działka zbóż i siana; w leśnych okolicach z łowów szła połowa do dworu. Dawano miody, len, pieńkę. Opłaty miały różne nazwy: poleśne, połykowe, spaśne; były szarwarki, stróże dzienne i nocne, tłoki i t. p."

„Pan dla siebie — mówi autor — zbiera w czasy pogodne, dżdżyste dni zostawując dla poddanych, a dozorca w tym wyborze częstokroć wszystkie zmitręży. Dla poddanego łączy się razem żniwo z tym zwyczajem. Pan, swe spieszając, często choć narzuconym najmem przeszkadza poddanemu i w czasie i należycie zebrać. Powaby, tłoki zostawują domy poddanych pustkami i gospodarstwo w czasie najpotrzebniejszym bez dozoru" i t. p.

O wyborze ludzi do dworu powiada: „W koronie jeśli chłop nie jest ludny, musi chować parobka, fornala, a miejscami poganiacza, dziewkę, pastuszka i kątnika, musi opłacać pijaka kowala za poprawki pługa lub sochy, ostrzenie kos i sierpów, którym oprócz zwyczajnego kubka, muszą się opłacać, często bez pieniędzy, chlebem. Oni muszą i włóczęgom po kraju dostarczać z pod gęby jadła, bojąc się podpalenia, i każdego podróżnego przyjąć, a często opatrzyć. Dodajmy wydatki przypadkowe, skargi, pokłony, pogrzeb, wesele, księdza, kościół, kolendy, włóczebne i t. d."

Jednem słowem: „Wymyślne pańszczyzny, daniny, garbarki, podwody, czynsze i dziesięciny z bydeł i pastwisk — dla was. Dla nas — dyby, gąsiory, więzienie, kije, rózgi, łańcuchy i inne katusze" [5]).

Warto więc było bronić tego arcywygodnego życia!

Wprawdzie, z wyjątkiem Francyi, wszędzie panowały wtedy stosunki podobne — „od zachodu aż po ordy Nohajca" — jak mówi p. Handelsman. Ale w krajach tych nie było *wyboru pomiędzy wolnością* a słodkiem panowaniem nad chłopem... Słusznie Staszic *przypominał*, że przecież Kartagińczycy dali *wolność niewolnikom, kiedy zawisła nad* nimi straszliwa groźba Rzymu.

Niestety, mało u nas było wtedy ludzi o duchu starożytnej Kar-

tagi. O tem kierownicy powstania winni byli pamiętać. Jasne było, że zapał szlachecki nie wystarczał samemu sobie, że nie było mowy, żeby mógł udzielić się włościanom. A więc cóż trzeba było czynić?

Stańmy na gruncie czysto praktycznym, na stanowisku stosowania najbezwzględniejszych, byle skutecznych środków do dopięcia wielkiego celu. Więc może, zamknąwszy oczy na nędzę ludu, trzeba było poświęcić go szlachcie, zyskując ją dla sprawy jakiemiś niesłychanemi obietnicami, darowiznami? Nie; ona miała tyle, że nic jej już niepodobna było darować — żadnych praw, żadnych przywilejów. Ją już mogły poruszyć tylko hasła święte...

Dać było można tylko ludowi — tym, którzy nie mieli nic, i których interesem praktycznym było wydobyć się z pod wiekowej niedoli.

Nie uczyniono tego — usiłowano sprzeczne żywioły pogodzić, żywiąc idealistyczną nadzieję, że wobec świętego hasła: Ojczyzna — zniknie zarówno chciwość szlachecka, jakoteż chłopska nieufność ku panom.

Taktyka owa wywołała następującą, pełną goryczy, krytykę Heltmana:

„Z całego kierowników postępowania sądząc, można być pewnym, że środki poruszenia mas ograniczały się na zniesieniu poddaństwa i cieszeniu uciśnionych nadzieją lepszego w oswobodzonej ojczyźnie bytu; co z myślą nieobrażania szlachty dosyć było zgodne, lecz do głównego celu, do wydobycia żywotnej z ujarzmionych siły nigdy doprowadzić nie mogło. Czemże albowiem jest wolność osobista dla ludzi, ogołoconych ze wszelkich do korzystania z niej sposobów, ludzi w ostatniem ubóstwie i najgrubszej ciemnocie pogrążonych? Czem obietnice w ustach ciemiężycieli? Aby masy długą niewolą gniecione poruszyć, do życia powołać, uczucie poświęcenia w nich obudzić, silnego potrzeba wstrząśnienia, a silnie nie wstrząsną się umysły, ani serca zapalą próżnych słów dźwiękiem. *Równie polityka, jak proste sprawiedliwości uczucie nakazywały wyrwać niewolników naszych ze stanu uległości, upodlenia i nędzy, zagrabioną im własność i zdeptane prawa wrócić, nie cofać się przed następstwami gwałtownych wprawdzie, ale jedynie skutecznych środków.* Potrzeba było tę politykę pojąć, tę sprawiedliwość uczuć".

Nasuwa się pytanie: Czy środki, zalecane przez Heltmana, istotnie byłyby tak skuteczne, jak on to przypuszcza? Czy nie byłyby ryzykowne wobec przewagi szlachty i ciemnoty chłopa?

Ryzykowne—z pewnością. Wszelka rewolucya jest czynem nieobliczalnym w następstwach. Ale czyn wywłaszczenia, proklamowany głośno przez Naczelnika Narodu, stojącego na czele wojsk regularnych, w dwóch trzecich złożonych z chłopów i rekrutujących się w dalszym ciągu z chłopów — czyż nie byłby według wszelkiego prawdopodobieństwa skuteczniejszym od połowicznego czynu, jakim był Uniwersał Połaniecki? Chłopi byli wprawdzie ciemni i zobojętniali, ale ta obojętność nie była przecież zupełnem znieczuleniem *na własną niedolę*. Już po nieśmiałem spojrzeniu w stronę chłopa Konstytucyi 3-go Maja (której artykuł o włościanach nie zadowolił, notabene, „najgorętszych zwolenników ustawy"— jak pisze Smoleński [6]), włościanie posyłali do Sejmu dziękczynienia, a nawet ofiary na wojnę, jak stwierdza Korzon [7]), lub odmawiali gdzieniegdzie szlachcie robocizn, powodowali bunty, które uspokajano siłą wojskową, jak stwierdza Smoleński [8]). Objawy tego rodzaju, nieliczne i nieśmiałe po 3-cim Maju, musiałyby wybuchnąć potężnie po jakim śmiałym uniwersale Naczelnika. Należy też zwrócić uwagę na to, że Warszawa ówczesna nastrojona była wybitnie rewolucyjnie, świeciła krajowi przykładem męstwa, ofiarności i energii, miała przytem zapasy obfite. Jest więc bardzo prawdopodobne, że śmiały krok rządu powstańczego miałby siłę za sobą — siłę nietylko liczebną, lecz też siłę *zapału* i wściekłej odwagi mas poruszonych.

Panować nad tą masą byłoby zapewne niełatwo... Działyby się może w sennej dotychczas Rzeczypospolitej rzeczy straszliwe... i tych zapewne nie chciał brać na odpowiedzialność swoją Naczelnik, którego charakter mięki, marzycielski obcy był wszelkiej gwałtowności środków okrutnych i bezwzględnych. „On chciał być w Polsce Waszyngtonem—miał o nim, według pamiętników Koźmiana, mówić Staszic—ale mało zna Polskę, a jeszcze mniej Europę. Polskę zaś uratowałby chyba jaki Sulla". Tak, Sulla, Napoleon, człowiek żelazny, władny, nie cofający się przed krwią dla wielkich celów, nie zaś bohater wprawdzie tak świętej i wielkiej duszy, jak Kościuszko, lecz niestąpający po ziemi, człowiek, który liczył, iż ojczyznę jego zamieszkali Tymoleonowie, ludzie takiegoż poświęcenia, jak on...

Kościuszko wolał łagodzić zatargi i oddziaływać na masy wpływem osobistym, zachęcał, błagał, poświęcał się. Nie dopiął celu. Zresztą, na postanowienia jego względem ludu wpływał może Ignacy Potocki, kierownik nieudolny polityki zagranicznej, który bał się, by Polski

mocarstwa nie posądziły o jakobinizm, bał się przerażenia Europy, zapominając, że jedynym sprzymierzeńcem politycznym Polski być mogła wtedy rewolucyjna Francya, że Prus ani Austryi żadne względy powstrzymać nie zdołają, nie ułagodzą...[9]).

Przyczyn upadku powstania Kościuszkowskiego było wiele. Lecz jedną z pierwszych jest z pewnością zapoznanie przez kierowników powstania wagi załatwienia wtedy palącej sprawy społecznej [10]).



Odsyłacze:

[1]) Zajączek.

[2]) Jak się wyraża Zajączek.

[3]) Korzon: „Kościuszko“.

[4]) „Żywot chłopa polskiego“. Wskazuje na to zarówno ów pamiętnik, jakoteż źródłowy wstęp p. Handelsmana. Oto zaś ustęp niemniej charakterystyczny: „Nie zabaczyliśmy jeszcze, jak w legionach polskich szlachta krzyczała: Wolność, równość, a po powrocie do kraju za bunt poczytywano choćby najlżejszą o równości powiastkę“— cytuje p. H. z „Ludu polskiego na emigracyi 1835—1846“ (Jersey, 1854, str. 4).

[5]) Kraszewski. Cytowane z książki bezimiennej „obywatelów koronnych“, wydanej r. 1767.

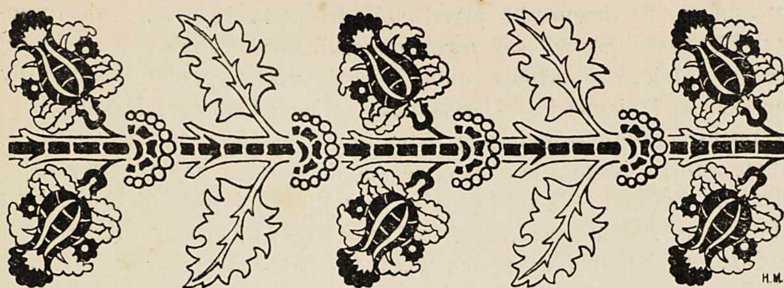
[6]) „Ostatni Rok Sejmu Wielkiego“. Wydanie r. 1897.

[7]) „Wewnętrzne Dzieje Polski“. Tom I.

[8]) „Ostatni Rok Sejmu Wielkiego“.

[9]) Korzon przypuszcza, iż dzięki temu, że Potocki dał się oszukać Prusakom, Kościuszko nie wiedział o obecności w kraju armii pruskiej przed bitwą Szczekocińską.

[10]) Artykuł niniejszy nie wyczerpuje oczywiście wszystkich argumentów w tej doniosłej i bolesnej kwestyi. Np. nie poruszam skomplikowanej sprawy, obszernie wyświetlonej przez Korzona, który pisze w „Wewnętrznych Dziejach Polski“ (t. I, str. 360): „Prawo odebrało szlachcicowi *władzę życia i śmierci nad chłopem* dopiero w r. 1768“. Poczem jednak cytuje na str. 362, w odsyłaczu, z księgi „O poddanych polskich r. 1789“: — „W tym oświeconym kraju, zwłaszcza po zapadłem prawie, nie słychać, aby kto *propria autoritate* powiesić kazał, lecz że biednego chłopka na śmierć zaćwiczono, albo że od okrutnego smagania spuchł i w kilka dni umarł, to się nieraz praktykuje“.



D-r WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ

O rynkach

Dla wielu zpośród postępowców naszych kapitalizm stał się nie przedmiotem krytycznej myśli, ani badania naukowego, to jest objektywnego, bez uprzedzeń, ale wprost bożyszczem. Bożyszczem strasznem, okrutnem, to prawda, ale niemniej bożyszczem, przed którem ci „radykalni“ bałwochwalcy kapitalizmu na twarz padają, jak dzicy ludzie, modlący się do tygrysa właśnie dlatego, że ta bestya drapieżna im dzieci pożera. Bożyszczu temu przypisano najistotniejsze atrybuty bóstwa: wszechpotęgę, wszechwiedzę, wszechobecność. Zgodnie z tym nastrojem fatalistycznego nabożeństwa do kapitalizmu, wytworzyła się skłonność do uogólniania krańcowych objawów rozrostu przemysłu kapitalistycznego, objawów, jakie się gdzieniegdzie ukazały wskutek wyjątkowych warunków historycznych. Objawów tego rodzaju dostarcza przedewszystkiem Anglia.

Niezawodnie rozwój kapitalistycznego przemysłu fabrycznego w Anglii jest pod wielu względami typowy. Wszak właśnie w Anglii wynaleziono maszyny parowe, w Anglii najpierw zastosowano je do przemysłu: przemysł fabryczny jest wynalazkiem angielskim. Toteż w Anglii przemysł fabryczny, jako najdłużej istniejący, jest najdojrzalszy i doszedł do najpóźniejszych faz rozwoju, jakie dotychczas znamy. Mię-

dzy innemi, już dawno, bo przed sześćdziesięciu laty, angielski przemysł fabryczny pozbył się owej gorączki protekcyonistycznej, której obecnie dopiero podlegają młodzi jego rywale: przemysł fabryczny amerykański i niemiecki. Utożsamiając więc schematycznie kapitalizm z kapitalistycznym przemysłem fabrycznym, całość z najważniejszą jej częścią, można istotnie twierdzić, że Anglia posiada najdojrzalszy kapitalizm na świecie, że więc to, co w rozwoju angielskiego kapitalizmu jest typowe, i w innych krajach się powtarza i powtarzać będzie. Ale zauważyć trzeba, że niewszystko właśnie w rozwoju angielskiego kapitalizmu jest typowe.

Angielski przemysł fabryczny młodość swoją przebył w czasie, kiedy poza Anglią nie było maszyn. Rozwijał się więc, nie napotykając na żadnych równych sobie współzawodników ani u siebie, ani na stałym lądzie Europy. Niszcząc w swoim pochodzie krocie tkaczów ręcznych i innych rzemieślników, a rujnując także sporo właścicieli dużych rękodzielni, przemysł angielski, zanim jeszcze inne kraje oswoić się zdołały z użytkiem maszyn parowych, już sobie zdobył przewagę na rynkach całej Europy. Na tem właśnie polega jego wyjątkowość. W takich warunkach już żaden inny przemysł rozwijać się nie mógł, ani w przyszłości rozwijać się nie będzie.

Nieliczenie się z tą wyjątkowością prowadzi do konkluzyj błędnych i wysoce szkodliwych.

Bodaj najbardziej rozpowszechniona z tych błędnych konkluzyj jest następująca: W Anglii, gdzie niegdyś większość narodu stanowili włościanie, przemysł fabryczny wchłonął w siebie trzy czwarte ludności, a wraz z handlem i przedsiebierstwami przewozowemi prawie dziewięć dziesiątych, i w rolnictwie pracuje już tylko jedna dziesiąta część ludności. Stan włościański znikł prawie całkiem, zastępy rzemieślników zmalały, a większością, i to ogromną większością narodu angielskiego stał się proletaryat przemysłowy. Oto więc ogólne prawidło rozwoju kapitalizmu; tak będzie wszędzie. Wszędzie, a więc także w Rosyi i w Polsce przemysł fabryczny rozrośnie się tak dalece, że zatrudniać będzie trzy czwarte ludności. Zmaleją szeregi drobnomieszczaństwa, znikną chłopi, a ogromną większość narodu stanowić będzie proletaryat fabryczny.

Konkluzya ta jest nawskroś fałszywa.

Jeśli angielski przemysł fabryczny zdołał zatrudnić nietylko potom-

ków dawnych mieszczan angielskich, ale także większość potomków dawnych chłopów angielskich, a nadto krocie wyrugowanych z ziemi chłopów irlandzkich, to ten wyjątkowy, nieproporcyonalny rozrost tłumaczy się tem właśnie, że angielski przemysł przez najwcześniejsze zastosowanie maszyn zdobył faktyczny monopol wyższej techniki i zapewnił sobie w ten sposób monopol rynku, nietylko angielskiego, ale europejskiego. Sprowadzenie do przerażająco niskiego minimum ilości rąk roboczych, zatrudnionych w rolnictwie angielskiem, ograniczenie tej produkcyi do ekstensywnej uprawy zboża i jeszcze ekstensywniejszej gospodarki pastwiskowej, a więc zatamowanie wzrostu ilości i wartości produktów rolnych było w Anglii możliwe nawet wbrew podniesieniu liczby i siły kupnej robotników angielskich, bo niedobór krajowej produkcyi rolnej pokrywano dowozem z Europy i zzewnątrz niej. Innemi słowy, cała Europa stała się rynkiem dla angielskiego przemysłu fabrycznego, ale też wzamian Anglia stała się rynkiem dla rolnictwa całej Europy. Więc też Anglia póty mogła bez szkody zaniedbywać rolnictwo krajowe, póki kraje stałego lądu Europy zaniedbywały przemysł krajowy, albo też pomimo dobrych chęci nie zdołały go uczynić zdolnym do konkurencyi z Anglią. Ale też tylko dopóty. Wiadomo, że to się zmieniło i zmienia coraz bardziej.

Nie będę się w tem miejscu wdawał w dalsze szczegóły historyczne. Nie będę rozpatrywał, kiedy i o ile we Francyi czy Belgii, Niemczech czy Austryi, Ameryce czy Japonii, ta czy owa gałąź przemysłu stała się zdolną do konkurencyi z angielskim przemysłem; ani też nie będę roztrząsał kwestyi wielce spornej, czy i w jakich okolicznościach cła ochronne przyśpieszają, czy też opóźniają to doskonalenie się przemysłu krajowego. Wszystkie te szczegóły, jakkolwiek ważne, nie są nam nateraz potrzebne; wystarczy przedstawić sprawę schematycznie.

Kraj, który pierwszy u siebie rozwinął nowoczesny przemysł fabryczny, posługujący się maszynami, nazwijmy krajem *A*. Kraje zaś, które później poszły za jego przykładem, nazwijmy kolejno krajem *B, C, D, E, F*...... *X*. Rynek zbytu dla wyrobów przemysłowych, istniejący w granicach kraju *A*, oznaczmy literą *a*, rynki zbytu dla wyrobów przemysłowych, istniejące w granicach każdego z pozostałych krajów, oznaczmy kolejno literami *b, c, d, e, f*...... *x*. Wreszcie maksymalny rynek zbytu, w najkorzystniejszym wypadku możliwy do zdobycia dla

przemysłu kraju *A*, oznaczmy literami ç *A*, a odpowiednio maksymalny rynek zbytu, możliwy dla przemysłu kraju *B*, *C*, *D*, *E*, *F*...... *X* oznaczmy literami ç *B*, ç *C*, ç *D*, ç *E*, ç *F*...... ç *X*.

Oto jak się wtedy rzecz przedstawia. Początkowo kraj *A* nigdzie na świecie nie natrafia na równego sobie rywala. Maksymalny rynek zbytu, możliwy dlań do zdobycia, równa się sumie wszystkich rynków świata, czyli

$$ç A = a + b + c + d + e + f \ldots\ldots + x.$$

W kilkadziesiąt lat później występuje do boju kraj *B*. Znajduje świat zajęty. Aby więc módz, tak jak szczęśliwszy jego poprzednik, ogarnąć swoim wywozem całą powierzchnię kuli ziemskiej, kraj *B* musiałby do szczętu zniszczyć przemysł kraju *A*. Ale tego się w praktyce nie robi. Takie figle płatać można skutym prowincyom zabranym albo koloniom bezwładnym (chociaż i to jest ryzykowne, jak dowodzi Ameryka północna, która niegdyś była kolonią angielską), ale nie państwom niepodległym. Gdyby nawet kraj *B* zdołał połączyć wszystkie pozostałe kraje świata w jeden wielki sojusz handlowy, wykluczający z rynków swoich wyroby kraju *A* (jak to istotnie usiłował uczynić Napoleon Wielki względem Anglii), to kraj *A* mógłby nawzajem wykluczyć wszelkie obce towary ze swojego rynku krajowego. W najgorszym więc razie kraj *A* zachowałby swój własny rynek krajowy dla siebie, a tem samem zachowałby w ręku cenny objekt zamiany; ofiarując zaś dopuszczenie obcych towarów do swojego terytoryum tylko wzamian za dopuszczenie swoich wyrobów poprzez obce kordony celne, zdołałby w końcu zawrzeć korzystne traktaty handlowe. W ten więc sposób kraj *B* nie potrafi owładnąć całym rynkiem, dotychczas przez kraj *A* posiadanym, chyba mu wojnę wytoczy, zdobędzie go i spustoszy; w takim razie wprawdzie kraj *B* mógłby wyłącznie zapanować na rynku światowym, ale pojemność rynku światowego zwężyłaby się mniejwięcej o całą dotychczasową siłę kupną kraju *A*, a nadto prawdopodobnie o bardzo znaczną część siły kupnej kraju *B*, — bo tak rozpaczliwych wysiłków nie dokonywa się bez strasznego upustu własnej krwi. A zatem, uciekając się nawet do najkrwawszych ostateczności, kraj *B* nie mógłby zagarnąć całego rynku światowego bez bardzo dotkliwego uszczuplenia tegoż rynku. Jeśli zaś

nie chodzi o przemoc, tylko o pokojową konkurencyę handlową, to znowu niema żadnej przyczyny, dla którejby kraj o starszym i wyżej rozwiniętym przemyśle, jeśli się nawet da doścignąć młodszemu rywalowi, nie miał mu dotrzymać kroku, przynajmniej o tyle, iżby zachować dla siebie bądź to własny rynek krajowy, bądź to rynek częściowo krajowy, częściowo zagraniczny, ale ogólną pojemnością conajmniej równy rynkowi krajowemu. Zanimby zresztą doszło do tak daleko posuniętego wyparcia kraju *A* z rynku światowego, już dawnoby kraj *A* zabezpieczył swój wewnętrzny rynek cłami ochronnemi. A więc tak czy owak maksymalny rynek zbytu, możliwy do zdobycia dla kraju *B*, równa się już nie całemu rynkowi światowemu, lecz rynkowi światowemu, uszczuplonemu o rynek wewnętrzny kraju *A*, czyli:

$$ç B = b + c + d + e + f \ldots\ldots + x.$$

Jeśli znowu w kilkadziesiąt lat później stanie do konkurencyi kraj *C*, to będzie mógł conajwyżej zagarnąć rynek światowy, uszczuplony o wewnętrzne rynki krajów *A* i *B*, czyli

$$ç C = c + d + e + f \ldots\ldots + x.$$

Jest jasne, że dalszy ciąg tej seryi zrównań brzmieć musi:

$$\begin{aligned} ç D &= d + e + f \ldots\ldots + x \\ ç E &= \quad\;\; e + f \ldots\ldots + x \\ ç F &= \qquad\quad f \ldots\ldots + x \end{aligned}$$

i tak dalej. Ostatnie zaś zrównanie brzmi:

$$ç X = x$$

czyli w słowach: kraj, który się ostatni uprzemysłowi, będzie miał do zdobycia conajwyżej swój własny rynek wewnętrzny. Ale też nie będzie miał potrzeby zadowolić się mniejszą zdobyczą, o ile tylko zdoła zachować swoją niezawisłość państwową; w takim bowiem razie w każdej chwili będzie mógł sobie zabezpieczyć rynek wewnętrzny cłami ochronnemi. Innemi słowy: kraj, który się ostatni uprzemysłowi, zdobędzie ani mniej ani więcej, jak właśnie *swój rynek wewnętrzny.*

Oczywiście, że nie chodzi mi specyalnie o losy tego hypotetycznego kraju *X*, który najdłużej ze wszystkich krajów na świecie ociągnie się z uprzemysłowieniem. Mniejsza o to, czy będzie nim Tybet czy Nepal, każdy sam sobie da radę. Chodzi mi o to, żeby na skrajnym przykładzie kraju *X* wykazać, w jakim kierunku dąży rozwój stosunków handlowych we wszystkich innych krajach, czyli, że w miarę powszechnego uprzemysłowienia — położenie każdego kraju zosobna coraz bardziej zbliżać się będzie do położenia, jakie przewidujemy dla kraju *X*, t. j. do zachowania dla swego przemysłu własnego rynku wewnętrznego.

Naturalnie, że konkretna rzeczywistość jest bardziej złożona i mniej prostolinijna od schematu powyższego. Kraj *A*, po utracie wyłącznego zwierzchnictwa przemysłowego nad całym światem, może długo jeszcze zachować względne zwierzchnictwo nad znaczną jego częścią, a przeto długo jeszcze nie bać się konkurencyi, tylko pozostać wolnohandlowym krajem, jak to widzimy w Anglii współczesnej. Podobnie i kraje *B*, *C*, *D* jeszcze długo po zjawieniu się nowych rywalów na rynku światowym zachować mogą rozległe rynki w różnych częściach świata, a ufne w wyższość swoich wyrobów, mogą się stać wolnohandlowymi, jak to się prawdopodobnie w dość bliskiej przyszłości stanie z Ameryką, Niemcami, Francyą. Ale nie należy przeceniać ani doniosłości, ani trwałości takich objawów. Gdyby nawet powstała powszechna era wolnego handlu (co wcale nie jest wykluczone), to w miarę dorastania młodszych krajów do równej sprawności przemysłowej ze starszymi — ostatecznym wynikiem tej powszechnej wolnej konkurencyi byłoby zachowanie przez każdy kraj zosobna własnego rynku wewnętrznego.

Jeśli taki właśnie będzie ostateczny wynik rozwoju, to jaki odsetek ludności może wtedy stanowić proletaryat przemysłowy?

Ludność przemysłowa po to pracuje, aby mieć za co kupić żywność. Dzisiaj tę żywność, jeśli jej w kraju zamało, można sprowadzać z zagranicy, z krajów bez przemysłu, a zatem mogących mieć dużą nadwyżkę zboża na sprzedaż. Kiedy jednak już wszystkie kraje będą uprzemysłowione, to każdy kraj spożywać będzie swoje produkty rolne u siebie, nikt nie będzie miał ich nadwyżki na wywóz, więc też nikt nie będzie mógł pokryć niedoboru żywności dowozem z zagranicy. W takich warunkach podobne zaniedbanie kra-

jowej produkcyi rolnej, jakie w Anglii miało miejsce w ciągu XIX wieku, stanie się niemożliwem. Każdy naród będzie musiał dbać o zatrzymanie w rolnictwie tylu rąk roboczych, aby te mogły wytwarzać dostateczne zapasy żywności nietylko dla siebie, ale także dla całej przemysłowej ludności kraju, by nie wymarła z głodu.

W praktyce, rzecz oczywista, do śmierci głodowej nie dojdzie. Już samo utrwalenie się drożyzny żywności wystarczy do zachęcenia kapitalistów, aby we własnym interesie pieniężnym lokowali odpowiednią część kapitału w rolnictwie, co naturalnie czynić będą w sposób, w kapitalistycznym ustroju najryzykowniejszy, a w późniejszych fazach tego ustroju nawet jedynie zyskowny: będą wykupywali folwarki, lecz nie po to, aby osobiście na nich gospodarować, lecz żeby parcelować ziemię uprawną, parcele zaś sprzedawać lub wydzierżawiać drobnym gospodarzom, względnie robotnikom rolnym, pragnącym stać się drobnymi gospodarzami. Ponieważ jednak ku końcowi okresu kapitalistycznego dążności prywatno-kapitalistyczne już się nie przejawiają w niezakłóconej czystości, lecz bywają coraz bardziej krzyżowane przez wzrastające w siły dążności kolektywistyczne, więc ta zbawienna, bo sprzyjająca intensywnej uprawie, decentralizacya gospodarki rolnej coraz częściej odbywać się będzie nie za pośrednictwem kapitalistów prywatnych, ale za interwencyą państwa, i tworzyć będzie już nie dłużników lub czynszowników prywatnego kapitalizmu, lecz dłużników lub czynszowników państwa — jak to widzimy na przykładzie reform agrarnych, które u siebie oraz w Irlandyi przeprowadza Anglia XX wieku. Wszak najnowsza, świeżo uchwalona angielska reforma agrarna upoważnia rady hrabstw do wywłaszczania wielkiej własności ziemskiej celem oddawania robotnikom rolnym kilku—do kilkunastumorgowych parcel w długoletnią dzierżawę na dogodnych warunkach, a na wypadek, gdyby niektóre rady hrabstw nie chciały korzystać z tego upoważnienia, przewiduje tworzenie osobnych rad rolniczych w tym celu. A zatem to samo państwo angielskie, które w drugiej połowie XVIII wieku tak gorliwie pomagało lordom rugować chłopów, dzisiaj pomaga robotnikom rolnym rugować lordów. Nie ulega wątpliwości, że prędzej czy później i inne państwa, ulegające naporowi od dołu, pójdą za przykładem Anglii. Ale taka decentralizacya rolnictwa kładzie kres wyludnieniu wsi. Następuje zwrot ku intensywnej uprawie, która ze szczupłych obszarów ziemi duże wydoby-

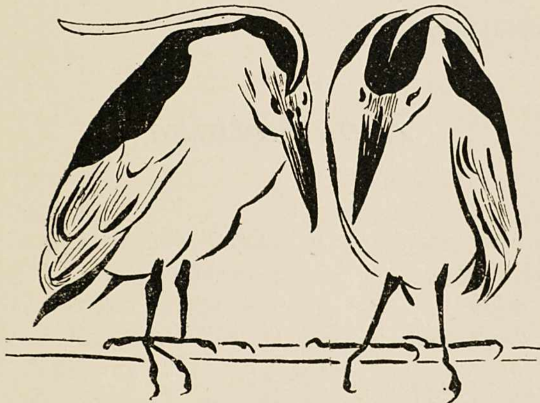
wa plony, ale też na tych szczupłych obszarach ziemi zatrudnia dużo rąk roboczych. A ponieważ w młodszych krajach rozwój dziejowy odbywa się w skróconej postaci (bo przy oddziaływaniu spółczesnych mu, a dalej posuniętych stadyów rozwoju starszych krajów), nie dziw więc, że chociaż w Anglii parcelacya dopiero dzisiaj zaczyna się krzewić na wielką skalę, w Rosyi — dziś również — mimo że rosyjski kapitalizm jeszcze niezbyt się rozwinął — parcelacya przyjmuje już olbrzymie rozmiary, aczkolwiek odbywa się w postaci wielce niedoskonałej. Również wiadomo, że we wszystkich trzech zaborach Polski ruch parcelacyjny zaczął się jeszcze nieco wcześniej, niż w Rosyi.

Zamiast więc zaniku włościaństwa, widzimy jego odrodzenie i rozrost. Ten rozrost klasy drobnych gospodarzów będzie trwał, dopóki trwać będzie ustrój kapitalistyczny. Oczywiście, że i rolnictwa nie minie przejście od prywatnej gospodarki do kolektywizmu; ale to przejście odbędzie się drogą nie proletaryzacyi, lecz kooperacyi.

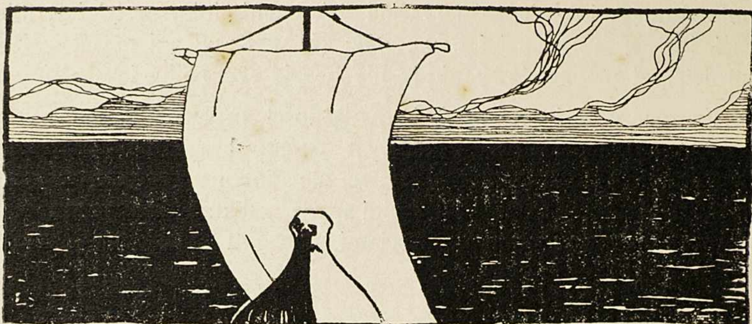
W każdym zaś razie należy się liczyć, jako z trwałym, ostatecznym wynikiem kapitalistycznego rozwoju—z istnieniem klasy włościańskiej tak licznej, że potrafi wytwarzać żywność dla całej ludności kraju, czyli dla siebie oraz dla ludności przemysłowej. Zwiększanie wydajności pracy rołnej ma granice dość ciasne. Niemożna dowolnie powiększać obszaru ziemi podatnej pod uprawę, niemożna dowolnie przyśpieszać procesów życiowych roślin i zwierząt. Śmiało twierdzić można, że nawet przy wysoce racyonalnej uprawie jedna siła robocza, zatrudniona w rolnictwie, potrafi conajwyżej wytwarzać żywność dla czterech osób. A ponieważ zpośród ogółu ludności na jednostki niezdolne do pracy (dzieci, starców, chorych i t. d.) przypada mniejwięcej połowa, jeden więc pracownik rolny conajwyżej wytwarza dla siebie, dla drugiej osoby, pracującej w przemyśle lub innym pokrewnym zawodzie, oraz dla dwóch osób niezdolnych do pracy. A zatem na każdą jednostkę, pracującą w przemyśle lub też w zawodach miejskich i inteligienckich, potrzebny jest conajmniej jeden pracownik rolny. Innemi słowy: jeśli rozmiary rynku zbytu dla przemysłu danego kraju nie przewyższają rozmiarów własnego rynku wewnętrznego, to klasa włościańska musi wynosić conajmniej połowę ludności kraju. Ponieważ jednak poza włościanami z jednej, a proletaryatem przemysłowym z drugiej strony społeczeństwo zawiera jeszcze

w sobie różne żywioły nieproletaryackie (jak rzemieślnicy, urzędnicy, inteligienci, kupcy, fabrykanci i t. d.), więc ani w Rosyi, ani nawet w Polsce proletaryat przemysłowy nigdy nie będzie stanowił większości.

Nie znaczy to bynajmniej, iżby dążności proletaryatu przemysłowego były beznadziejne. Proletaryat przemysłowy ma niezawodnie bardzo doniosłe posłannictwo dziejowe, ale dokona go tylko w ścisłej łączności z klasą włościańską i spełni swoje zadanie historyczne, o ile zdoła zespolić ze swemi dążnościami cały lud pracujący — miejski i wiejski.







EDWARD SŁOŃSKI

Z pamiętnika

My, jak wędrowne ptaki,
znamy i głód i chłód,
i leżą nasze szlaki
na zachód i na wschód.

* * *

Obłąkał mnie od świtu
nieukojony żal,
nakryła mnie błękitu
i szumów pełna dal.

Za mgłami liliowemi,
za srebrną wstęgą rzek
dalekiej mojej ziemi
ostatni zginął brzeg.

Dokoła światy biegą
i zapadają w cień...
Tak wszedł tułactwa mego
na niebie pierwszy dzień.

* * *

Okwitła jakaś wiosna,
zgasł jakiś cudny dzień —
ostatnia polska sosna
rzuciła na mnie cień.

Mignęła przed oczami
i zaszumiała wślad:
— Za mgłami, za górami
twój cały został świat... —

Mignęła przed oczami
i weszła w błękit, w las...
— Za mgłami, za górami
nie ujrzysz więcej nas... —

* * *

Za mgłami, za górami,
gdzie wczoraj księżyc zbladł,
zabity gdzieś deskami
malutki leży świat.

Wioseczki zadymione,
przyziemne rzędy strzech,
a w jaką spojrzysz stronę,
tam — piaski, albo mech.

Na piaskach sosny drzemią
i krzyże patrzą w dal...
Jakże mi ciebie, ziemio,
na tej obczyźnie żal!

* * *

— W jaką to idziesz stronę? —
pytały, jak na śmiech,
wioseczki zadymione,
przyziemne rzędy strzech.

— Cóż poczniem my samotne? —
mówiły, jak na śmiech,
piaseczki moje lotne
i rudy skrzypiał mech.

* * *

Czasem tak jest w ojczyźnie,
że komuś miejsca brak,
że trzeba na obczyźnie
swej drogi znaczyć szlak.

To znów wypędzą kogo,
jak psa, na głód i chłód:
— A gdy cię głody zmogą,
zdychaj u cudzych wrót. —

* * *

My, jak wędrowne ptaki,
znamy i głód i chłód —
i leżą nasze szlaki
na zachód i na wschód.

Na jednych my napróżno
do kraju tężym słuch —
i karmi się jałmużną
męczeński nasz KRÓL-DUCH.

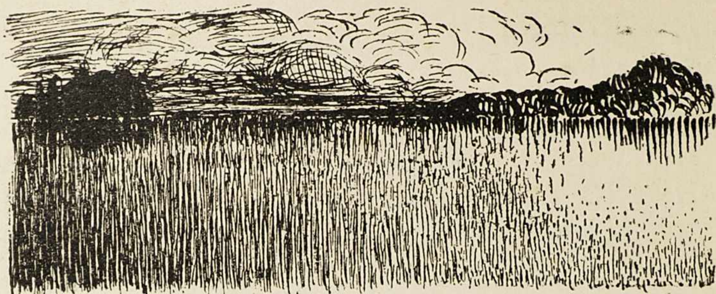
Na innych orkan dziki
gra, jak cmentarny dzwon,
i sypie mogilniki
tułaczom z naszych stron.

* * *

Za mgłami liliowemi,
za srebrną wstęgą rzek
dalekiej mojej ziemi
ostatni zginął brzeg.

—





WACŁAW SIEROSZEWSKI

Tułacze

III

Już nie odważał się podróżować we dnie i niezawsze ośmielał się rozniecać ogień na postojach. Gdy słońce wypełniało powietrze swem złotem i ciepłem, gdy budził się nanowo przygłuszony nocą szmer życia, on, jak rosomak, wpełzał w najciemniejsze gąszcze i, podetknąwszy pod głowę worek podróżny, spał. Wstawał z wieczornemi mgłami, przekradał się w mroku, jak dziw leśny, strasząc wioskowe psy, i przepadał nad ranem. Wpleciony misternie w gałęzie krzów, niby drzewozwierz, przyglądał się z oddali z ciekawością i strachem siołom spotkanym, przysłuchywał pieśniom lecącym z pól lub okrzykom wadzących się ludzi... I nieraz spostrzegał tuż obok siebie któregoś z mieszkańców kniei z nadstawionemi uszami i wylękłym i zaostrzonym wzrokiem. Rozumiał ich, współczuł im i poczynał miłować...

Aż pewnego poranku stanął niespodzianie nad przepaścistą krawędzią leśnej wyżyny i zdumiał się. Góry znikły. Odbiegły w obie strony niby równy, siny szlak morskiego wybrzeża. A dalej, jak okiem sięgnąć, aż po grzędy białawych chmur, nie było widać ni drzew, ni wzgórka, ni cienia... Step zielony, gładki jak toń i jak toń blady, słał się bezbrzeżnie... Tu i tam niby głazy i mielizny, albo drobne wysepki, czerniały przyziemne budowle, kopulaste, maluchne namioty... Siwe dymy snuły się nad nimi, a obok błądziły stada koni i krów, podobne do igrających fok i delfinów...

Środkiem przecinał równinę biały szlak drogi z nicią telegrafu u boku.

Zbieg schował się przezornie do tajgi, przywarował w ustronnej wpadlinie i wyjął mapę podróżną.

— Tak, to step! Słynny buryacki step. Ominąć go niemożna, a przejść niepostrzeżenie pono niepodobna!

Tak mówiono... On legł u drogi, na zachód jak straszny, mściwy lewiatan... Wojował bezlitośnie z włóczęgami, którzy płacili mu wzamian pożogami, mordami okrutnymi i kradzieżą bydła.

Wiktor zarzucił ręce pod głowę i, patrząc na chmurki płynące swobodnie w stronę jego ojczyzny, rozważał, co czynić. Bał się drogi stepowej, bał się rozstawionych na wieżach pikiet ułusnych przeciw koniokradom.

Wprawdzie miał fałszywy pasport „posieleńca", lecz rozumiał, że ten go nie obroni. Postanowił nareszcie ominąć górami step możliwie daleko i przeciąć go za jednym zamachem, w ciągu nocy, w najwęższem miejscu.

Musiał podróżować we dnie, gdyż przekonał się, że w nocy łatwo mógł trafić na potrzaski, sidła, łuki, lub samostrzały, dość gęsto zastawione na zwierza po górach. Na noc więc zagłębiał się w las, ale we dnie wychodził na brzeg stepu, aby go wciąż mieć przed oczyma i wciąż śledzić jego wrogie ruchy. Ogień rozpalał w zupełnym ukryciu, w jamkach — ogień maluchny, niewiększy od miejskiej fajerki.

Co rano, jak olbrzymia koncha perłowca, otwierały się przed nim siwe, omglone rozłogi — w dole stepu, a w górze niebios. Na ich zlewie, daleko, tlił się różowy świt i powlekał delikatną, atłasową pożogą płaskość ziemi i nieba zaklęsłość. W miarę jak żagwił się wschód, chmury nawisłe u firmamentu, niby szare, namokłe żagliska, nasiąkały zwolna purpurą, złotem i ametystem. Gasły dopiero, gdy słońce pojrzało na nie zza widnokręgu i zamieniło je znów w brudne łachmany. Na stepie budziło się życie. Szły ku kibitkom z dalekich noclezysk dojne kobylice, odpowiadając tęgiem rżeniem na cienkie głosy wabiących je źrebiąt; owce i krowy wypędzano z ogrodzonych „syrtów". Pochyleni na siodłach jeźdzcy ulatywali w dal, spleceni z końmi w jedną bryłę. Kobiety, dzieci, psy wylegały przededrzwi ruchliwą gromadą. Konni pastusi w „tułupach", wywróconych wełną na wierzch,

stawali nieruchomo na wzgórkach, jak czatujące jastrzębie, baczni na białe kłębki owiec rozproszone po obszernych żeremiach.

Wiktor szedł, z utęsknieniem wpatrywał się w mierzchliwy obłok zastepowych wyniosłości, to doszczętnie ginący za równią horyzontu, to ścielący nisko ponad nią długie skrzydła swej siniawy. Zawartość jego worka mocno zeszczuplała, a o kupieniu chleba na stepie nie mogło być mowy.

Nareszcie ujrzał na południowym nieboskłonie wielki leśny, wysoki przylądek, roztrącający bladozielone wełny stepu. Serce mu zabiło. Zrozumiał, że tam jest miejsce pożądane, o którem słyszał. Ale dzień cały szedł jeszcze, nim dostał się do szyi równiny. Wydała się bezludną. Łysawa jej wypuklizna nie wabiła widać stad. Porastały ją kołtuniaste wikliny stepowe, sztywne badyle ostów i dziewanny, pokręcone wichrami grzywy wyschłych oczeretów oraz piołunów. Szeroka droga wiła się wśród nich niewyraźnie.

Wiktor ukrył się w zaroślach u początku drogi i czekał zmroku. Przejechała mimo niego skrzypiąca, dwukołowa „arba“, pełna kobiet, postrojonych w długie koszule, w niebieskie i czerwone świty, kobiet śmiejących się, wesołych i rozbawionych. Przeleciało z tętentem dwóch jeźdźców w żółtych, zatłuszczonych, jedwabnych chałatach i płaskich, czerwonych kapeluszach. Przebrnął piechotą żebrak z workiem na plecach, z długim zakrzywionym koszturem w ręku i półnagim pachołkiem-przewodnikiem przed sobą. Mówili gardłowem narzeczem, podobnem do krakania kruków.

Pociemniało. Wiktor worek podwiązał i puścił się na step. Szedł szybko popędzany niepokojem, jaki budziła w nim otwarta nagle wokoło halizna. Woddali, z obu stron migały czerwone ogieńki koczowników. Górzysty przylądek zmalał, przysiadł, skrył się za przęsłami potarganych traw i ciernisk, które niespodzianie wyrosły. Zdala dolatywały głosy porykujących pojedyńczo bydląt i głuche ujadanie owczarek.

Tułacz szedł coraz śpieszniej, pilno mu było znaleść się znowu w schroniskach znajomej kniei... Gdyby choć noc zapadła prędzej! Ale ciemności odbite od bladego stepu nie gęstniały. Czuł, że w opalowem ich przezroczu, na lekkiem wzniesieniu ziemi, czarna sylwetka jego widnieje daleko, daleko... Nagle drgnął. Poza nim zatętniały kopyta. Jeźdzcy jechali drogą wprost na niego. Ścisnął zęby i wstrzy-

mał z wysiłkiem huragan myśli. Szedł dalej, nie zmieniając kroku. Gdy go mijali, dostrzegł wilcze błyski dwóch par oczu, obmacujących go drapieżnie. Stanęli opodal.

— Aj!.. Oros!..

— Kuda poszoł?!

— Pstoj!..

Pogadali z sobą i zawrócili ku niemu. Zatrzymał się i chciał obrócić, lecz w tej chwili pętlica arkanu mignęła mu przed oczami i szarpnięty potoczył się nawznak w czarną otchłań...

Gdy się ocknął, wydało mu się, że spał długo i głęboko. Zdziwiło go niepomału, że jest nagi, że leży na gołej, otwartej płaszczyźnie. Zastanowił go uszczerbiony sierp miesiąca, wiszący nad czarnym zrębem niedalekich gór. Bacznie mu się przyglądał, jakgdyby najważniejszą dlań rzeczą obecnie było poznać ten nowy przedmiot...

Wtem usłyszał tuż obok gardłowy charkot... Z trudnością ruszył obolałą szyją, obrócił głowę... Ujrzał opodal dwie patelniane twarze, z ukośnemi szparkami oczów, z rzadkim, szczeciniastym zarostem dokoła wielbłądzich gąb. Postaci jota w jotę z historycznych obrazków, jakie czytywał w dzieciństwie. Jak tamci — siedzieli w kuczki na ziemi i, szeroko rozstawiając w powietrzu grube od „tułupów" ręce, oglądali jego odzież. Już chciał na nich groźnie krzyknąć, gdy jeden z nich błysnął nożem i wypruł zaszyte w kurtce pieniądze...

Pochylili się oba nad pakietem, i twarze im się poruszyły w rozkosznym uśmiechu. Dosłyszał ciche, słodkie rechotanie, dostrzegł białe kły w ciemnych szczelniach szeroko rozciągniętych ust... i chłód bolesny, jaki dawno go ziębił, zamienił się nagle w śmiertelny dreszcz... Liczyli pieniądze, chrząkając coraz smakowiciej. Wiktor skulił się cichutko i cichutko, jak wąż, popełznął precz od nich... W pobliżu jeżyła się życzliwie wielka, miotlasta kępa wikliny... Niedługo był za nią i przycupnął bez ruchu, gdyż głosy ucichły. Uniósł głowę od ziemi i oko pożądliwie zapuścił w okienko gęstwiny. Czynili w skupieniu dalszy przegląd jego garderoby... Poczem rozłożyli ją na dwie kupki i chwilkę pochyleni ku sobie łbami, jak dwa tryki, przyglądali się swym obliczom. Odstające uszy sterczały im jak rogi. Po chwili niższy wydął wargę i zamruczał, a drugi wyciągnął z zanadrza paczkę pieniędzy, oddzielił parę papierków, też wydął wargi i zamachał ręką przed nosem. Naraz oba wrzasnęli jak rozzłoszczone koczury i zerwali

się na nogi... Machali rękami, przysiadali, przytupywali, nie przerywając wrzasków... Biegnąc chyłkiem wśród krzewów, Wiktor oglądał się od czasu do czasu za siebie i widział, jak się bili pięściami, jak jeden padł, a drugi skoczył na konia i pomknął... Po chwili i ten drugi skoczył na konia i z wrzaskiem za nim popędził... Czas jakiś trwała szalona gonitwa, napełniając tętentem okolicę... Wiktor zatrzymał się i ukrył w krzewach, sposobiąc wrócić po odzież, lecz niezadługo ścigający jeździec pozostał daleko w tyle, konia zdarł, zawrócił i wolno pojechał na porzucony majdan. Tu zeskoczył z siodła, rzeczy w węzeł związał, przytroczył i, znowu wdrapawszy się na wysoką jak pagórek kulbakę, zaczął z wyciągniętą szyją, uważnie wśród zarośli krążyć.

Wiktor jeszcze niżej przy ziemi przywarował i ścisnął w garści znaleziony sęk, Jeździec zataczał coraz szersze kręgi, gdy nagle spłoszyła go odległa wrzawa i ognie, buchające na stepie. Stanął, posłuchał i stępa w tamtą stronę odjechał.

Gdy znikł, Wiktor wstał i, nie kryjąc się więcej, poszedł drogą ku przeciwległym górom. Przejmował go ziąb gniewu i rozpaczy.

— Co mu zrobią? Nic mu już więcej zrobić nie mogą!.. Da się zaaresztować, byle dobrnął do miejscowości, gdzieby mógł się po ludzku rozmówić, gdzieby nie ścigała go plemienna, zasłużona wreszcie nienawiść! Niech tam!..

Szedł przez stepy wielkimi krokami, biały jak upiór, podpierając się długim drągiem, odrzucając w mdłem świetle księżyca długi, niewyraźny cień. Spotkanego przy drodze koczowiska nie okrążył, nie wyminął, przeciwnie—przeszedł tuż, blisko koło kibitek. Wypadłe ze szczekaniem psy uciekły, podwinąwszy ogony, zdziwione jego nagością, przestraszone błyszczącym wzrokiem i gniewnym spokojem... Nawet buryat, wywabiony hałasem z domostwa, wrócił pośpiesznie, zatrzaskując za sobą drzwi i przysięgając, że widział idącego drogą „jerlika“.

O świcie był już w błogosławionej górskiej kniei i, narwawszy długich zwiędłych traw, gałązek i modrzewiny, uplótł sobie coś w rodzaju płaszcza, jakim w słotę chronią gołe barki wieśniacy Japonii i Chin.

IV

Mieszanina strachu i wstrętu pchała go dalej w bory... Szukał wioski, lecz myśl powrotu na step nie przychodziła mu nawet do gło-

wy. Z rozpaczą zrozumiał, że jest daleko od wszelkich sadyb ludzkich, dopiero wtedy, gdy droga, jakiej się trzymał, zmalała do rozmiarów głuchego, leśnego przegonu... Wlókł się dalej, bardziej zresztą zajęty szukaniem korzonków, wypatrywaniem nor mysich, gniazd wiewiórczych i ptasich, niźli przebytą drogą. Cel wysiłków znikł przed nim, zamglił się, rozprysł na tysiące majaczących pomysłów, chęci, nad któremi górował głód i straszne zimno... Nie wiedział, gdzie się przed niem ukryć, czem je utulić. Wpełzał do dziupli, lochał się jak dzik pod kupami przeliny leśnej, zaszywał w chruśniakach... Ale wszędzie dosięgała go wilgotna od słoty lub blada od rosy ręka zimna, trzęsła nim, biła o ziemię, ssała szpik i nadrywała wnętrzności... Resztką woli wstrzymywał od ryku szczękające zęby i wykrzywione usta... wydało mu się, że gdy raz z dygocących piersi wyrzuci rwące się głosy, pobiegnie na czworakach, jak wilkołak, opuści ludzi nazawsze. Wtedy widywał w gorączkowem zapamiętaniu obszerny, wygodny pokój, nocną oświetlony lampką, w biało zasłanem łóżeczku siebie i twarz słodką, pochyloną nisko nad nim z koroną złotych warkoczy nad czołem, szepcącą: „śpij, śpij! synusiu, śpij!"... — Budził się, gdy las był już pełen do samego dna dziennego światła i ciepła... Łatał naprędce swe liściaste łachmany i gnał przez haszcze, jak opętaniec, wypatrując ostrym wzrokiem pożywienia...

Nareszcie pewnego wieczoru, gdy był tak słaby, że nawet nie szalał, że przypadł do ziemi z cichym piskiem zdychającego szczenięcia, spostrzegł poprzez trawy i badyle, tuż u korzeni drzew, rubinową iskrę ognia. Usiadł i głowę przewiesił, nie chciało mu się ani szukać, ani sprawdzać, lecz ogień sam odszukał jego źrenice, świecił w nie wyraźnie, niezbyt daleko, nęcił, grzał... mamił migotaniem. Powstał więc i sunął się wśród cieni.

Tuż u drogi stał stary, przegniły szałas myśliwski, przed nim palił się drobny ogieniek. Nad ogieńkiem wisiał na drążku kociołek. Z głębi szałasu z poza dymu i pary wychylała się chwilami wyleniała bermyca sybirska, a pod nią twarz mięsista, czerwona, z sinym nosem, okolona długą, siwą, zwichrzoną brodą. Gdy nieznajomy usłyszał lekkie kroki Wiktora, nakrył lewą dłonią przymrużone oczy i bokiem wyjrzał z ciemności; prawą rękę jednocześnie oparł zniechcenia na rękojeści siekiery, leżącej w pobliżu.

— Hej, kto tam?.. Kto idzie?!

Wiktor w milczeniu wyszedł z ciemności i przykucnął przy ognisku. Czarne wychudłe ręce wyciągnął łapczywie ku ciepłu. Stary odchylił się cokolwiek w tył, twarz mu się zsiadła, broda najeżyła... Nie ruszył się jednak, nie zdradził nawet niczem wzruszenia. Siwe oczki jego patrzyły spokojnie, z pewnem nawet zadowoleniem na młodą, wynędzniałą twarz, na dziwaczny liściasty strój i nagie, przeświecające zeń ciało...

— Ze stepu? — zapytał łagodnie i zdjął rękę z siekiery.

Wiktor kiwnął głową.

— Jeść! — syknął przez ściśnięte zęby.

— To się rozumie!.. Urządziły cię te mordy kobyle!..

— Ledwiem uszedł...

— Widzę... Znam ich, psią ich mać obłupaną!.. Bywałem i u nich... He! he!

Rząd drobnych, białych zębów błysnął mu pod obwisłymi wąsami.

— Jeść!.. — szepnął znowu cichutko Wiktor.

— To się rozumie... Po co gwałtować?.. Niech się uwarzy. Nie umrzesz. I tak wiele ci nie dam. Ile dzion idziesz?

Wiktor roztworzył pięć palców. Stary pokiwał głową.

— Noo... Bywa gorzej!.. Połóż się, wygrzej u ognia. Rychło dośpieje...

Wiktor nie ruszał się i oczu gorejących z kociołka nie spuszczał, po krtani mu przechodził widoczny spazm.

— Młodyś!.. — mówił wolno stary, przyglądając mu się zmrużonemi oczkami... Pewnie pierwszy raz, bo boli jak dziewczynę, a potem nawykniesz, polubisz!...

Łyżkę do kociołka zapuścił, zamieszał, czerpnął, sprobował, znów zaczerpnął i ostrożnie na nią podmuchał.

— Na!.. Przetrzyj kiszkę... A nie sparz się...

Wiktor pieczołowicie wziął łyżkę i pociągnął zupy zaprawnej mąką. Do ciemnego zastygłego jego wnętrza wlała się nagle struga błogiego ciepła... Spojrzał wdzięcznemi oczami na starego i wrócił mu łyżkę.

— Dobrego po troszeczku!.. — rzekł włóczęga.

Zdjął kociołek z ognia i odstawił go na bok.

— Niech się studzi, a ty powiedz, jak było.

— Szedłem przez step...

— W „gęsiej szyi“?

— Zapewne... tu... u tej drogi...

— Jakto? Eh! Mać!.. Ty widzę, idziesz bez „sznurka“...

Wiktor zmieszał się.

Chwilkę mierzyli się oczyma podejrzliwie i wyczekująco...

— Nie jestem włóczęgą, dziadu! — rzekł wreszcie Wiktor.

— Ano widzę!

Ujął brodę w garść i koniec jej wsadził do gęby. Czekał. Ale Wiktor wstrzymał się i popatrzył w zamyśleniu na ogień.

— Ptaak! — szepnął z zadowoleniem stary. — Naści jeszcze łyżkę, a nie myśl, że przez chciwość nie daję... Wyciągnąłbyś do jutra kopyta, gdybyś zjadł... Kiszki ci się skręciły, powoli rozwijać muszą... Ciągnij kropelkami... nie śpiesz się.. Eh, eh! Dufna młodość wasza... nierozważna!..

— Weźmiesz mnie z sobą, dziadu, co?

— To się rozumie, źreć ci dam. A droga dla każdego otwarta: zechcesz, pójdziesz...

— Bóg ci zapłać, dziadu!.. Dobry jesteś...

— Z musu każdy dobry. Dokoła las, a w lesie rozmaicie bywa... Nie dam ci, to mię zabijesz.

— Co?!

— Nie cokaj, wypiorze! Ani się spostrzeżesz, jak zgrzeszysz.

I znów uśmiechnął się dziwnie.

— Ale barachła nie mam... Będzie wieś niedługo, tam dostaniemy... — dodał surowo i spojrzał przeciągle na Wiktora. Ten głowy nie podniósł. Siedząc na piętach, grzał z rozkoszą wyziębłe ciało. Morzył go nagły bezwład; nie miał siły nawet unieść ociężałych powiek.

— Naści jeszcze łyżkę!.. A potem właź w barłog...

Słyszał jak przez sen i jak przez sen czynił, co mu kazał głos głuchy, tajemniczy, uchodzący coraz dalej...

Obudził go nagły blask i zimno. Otworzył i oczy w błękitnem świetle dnia, tuż nad sobą ujrzał barczystą postać włóczęgi. Podniósł pokrywę modrzewiowych gałęzi, jaką był młodzieniec przykryty i ciekawie przyglądał się jego nagiemu żołądkowi i biodrom. Wiktor podebrał kolana.

— Czujnie! po warnacku drychniesz! Chwalę, ale czas wstawać. Do wsi daleko, a „marszłuta“ pusta.

Pokrzepiony snem i jedzeniem Wiktor rzeźko wziął się do reparacyi swego liściastego płaszcza i był gotów jednocześnie prawie z włóczęgą, który mył tymczasem kociołek, wiązał węzełek i gasił ogień.

— Przyjdzie wicher i rozdmucha... A las nasza matka! — pouczał sentencyonalnie Wiktora.

— Chcesz, wdziej!.. — dodał nagle, podając młodzieńcowi ciżmy. — Bierz, nie dmij się, mam zapasowe!

Ale Wiktor potrząsnął przecząco głową.

— Przyzwyczaiłem się, dojdę!.. Może we wsi dadzą...

— A jakże!.. Gdyby choć koszulę i portki dali... A co obutki, to już niechybnie ukraść trzeba będzie!

— Pójdę i boso.

— Jak chcesz... Nikt cię nie niewoli!..

W źrenicach włóczęgi zatliły się szydercze ogniki.

— Nawet pop zgodzi się, że jak mus, to niema grzechu! Co?

— A jak was zwać, dziadu? — spytał wymijająco Wiktor.

Włóczęga chwilkę pomyślał.

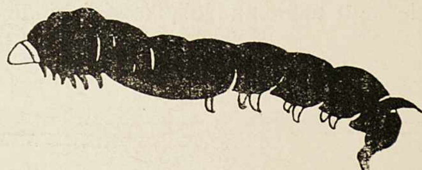
— A zwij choćby... Wasiliczem. A ciebie?

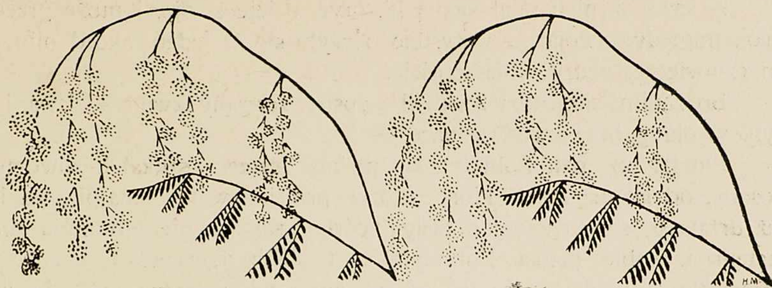
— Ignac...

— Niech będzie Ignac... A tylko zapamiętaj sobie, że lepiej wieś spalić, niźli wędrowca o nazwisko pytać... Takie jest nasze warnackie prawidło!.. Rzetelny włóczęga nie ma nic, ani rodu, ani plemienia, ma na sobie wór, a kasę... w szynku!

Szli drożyną, gawędząc. Słońce coraz częściej zaglądało na skrętach w cienistą szparę leśnego przesmyku i złociło zieloną koronkę modrzewiowych pławi. Wreszcie wypłynęło ponad drzewa i, niby szeroki brzeszczot ognistego miecza, rzuciło słup swych promieni na drogę między brunatnozielone pobocza puszczy. Szara, więzienna postać starego włóczęgi na koślawych, pałąkowatych nogach oraz młoda, smukła figura Wiktora w stroju leśnego fauna utonęły w rozedrganem świetle i cieple...

DCN





WACŁAW MAKOWSKI

Na temat „Dziejów Grzechu"

I

„Jak kwiat człowiek powstaje i skruszon bywa. — Przemija, jako cień..."

„Gdy raz tę różę zerwę — już jej życia
Wrócić nie zdołam; musi, musi zwiędnąć —
Niechże się jeszcze jej wonią nacieszę,
Póki jest na pniu..."

Na użyźnionej kałem, krwią i krzywdą ziemi rosną kwiaty, róże barwne i pyszne i wonią cudowne; rosną w polu, w ogrodach, w cieplarniach,—nawet w glinianej doniczce w oknie mieszkanka na trzeciem piętrze oficyny starej, schorowanej kamienicy rosną kwiaty. I bywają skruszone...

Dzieje Ewy — to dzieje tego kwiatu —

Ale cóż kwiat jeden? Oto wyrasta on na glebie użyźnionej przez oddawna gnijące łodygi, korony, kielichy innych kwiatów, tych, co dawniej zerwane, lub na pniu zwiędłe, opadłe, w ziemię i błoto wdeptane.

A każdy z nich miał swoją historyę, dzieje swoje, i może grzech swój, tragiedyę swoją. I wszystkie złożyły się w jeden akord olbrzymi człowieczej nędzy i nieszczęścia.

Bo zanim zakwitł i rozkwitł i został zerwany kwiat — Ewa, już były w okrąg inne kwiaty ginące.

Od lat już pan Pobratyński, piękny starzec, szukał bezowocnie posady, od lat już Adolf Horst, filozof, przesiadywał w knajpie, od lat już drżała o jedną, potem o drugą córkę, sama z niezagojonym dramatem w sobie matka Pobratyńska, i ciocia Barnawska, i Leośka, i wszystko dookoła trwało już od lat, może od wieków, może od świata początku, z małą zmianą dekoracyi, kulisów, bez zmiany w istocie.

A przecie każdy z tych ludzi był, jak kwiat, i mógł być pięknym, świętym, boskim kwiatem, i powinien...

Nie chodzi zatem o wielki i bolesny dramat Ewy, chodzi o gorszą tragiedyę życia.

Czemu ten żebrak, co „leży na chodniku przy marmurowych schodach wielkiego gmachu, wyciągnął kule i potworne kikuty. Rozwalił się, jak u siebie w barłogu. Łachmany szare. Twarz potężna, wzgardliwa, oko głęboko nienawidzące... — czemu ten człowiek nie zabija, lecz jęczy, czemu nie lży, lecz błaga?“

Tu tkwi oś powieści, w tej wielkiej życia tragiedyi.

A Ewa? — mniejsza o Ewę.

„Bądźcie pozdrowieni upadli, grzesznicy, obarczeni przez zbrodnie! Pan z wami, zbrodniarze...“

„Jakże można dawać jałmużnę, brud ręki swej, na pożywienie bratu — bliźniemu...“

Czytajcie te pytania, wejdźcie w te wątpliwości, posłuchajcie opowiadania Pochronia, gdy wspomina dziecięctwo, i o nędzy jasnogłowych polnych stokrotek — kwiatów mówi, przeżyjcie szalone godziny rozpaczy, pochylcie się nad arkuszami „norm“, nad strzępami jedwabnych tkanin, nad opuchłemi twarzami pijanych i obłąkanych żebraków, i pomyślcie: „jakże tu iść w swej czystości śród grzechów straszliwych świata?“—a wtedy nie będzie wątpliwości, że mniejsza o Ewę i jej grzech, i jej dramat.

Stara to, znana historya. Faust spotkał Gretchen, wracającą z kościoła, i nie mogła się już modlić — Łukasz spotkał Ewę pomiędzy spowiedzią a komunią, i odszedł od niej stan łaski. Romantyczna Gret-

chen potrzebowała pomocy Mefista, by zejść do więzienia. Ewa miała szatana — życie, gorszego stokroć, bo potężniejszego, niż wszyscy wysłannicy piekielni, aż zeszła na dno.

A zresztą wszystko jedno, dawna historya i znana —

Kwiatem była, bronić się nie umiała, kwitła pyszna, dopóki ten co ją zerwać miał, chciał się jej wonią na pniu cieszyć, a gdy ją zerwał, tak czy inaczej musiała zwiędnąć.

Czemużeś była tylko kwiatem, Ewo? Czemuś nie wzrosła ponad kwiat, czemuś nie była *człowiekiem?*

„Ewa jest to istność, która była, jest i będzie. Jest to kobieta nieśmiertelna“—mówi świadomy hebrajskich źródłosłowów Łukasz. Ale ten sam Łukasz nie jest świadomy tajników duszy ludzkiej i życia, i bez świadomości łamie ową istność—kwiat.

Więc „Dzieje Grzechu“ to dzieje grzechu świata i życia. W życie i w jego nędze patrzył Żeromski zawsze i patrzy teraz. A patrząc, widział kwietną bezradność człowieka i wybrał Ewę, i o niej opowiadał.

Więc ma ona w sobie coś z róży, miłośnie rozwierającej napęczniałe wonią płatki, nlby usta nabrzmiałe, pragnące pocałunków, i coś z białości lilii, i z narcyzowego w siebie wpatrzenia, i z upajającej woni nikocyany,co się w dzień zamyka i białe gwiazdy roztwiera nocą — coś z mimozowych złotych kiści — i nic więcej.

A człowiek winien mieć siłę, siłę zwycięzcy, idącego naprzełaj może nawet miażdżącego kwiaty. Człowiek powinien być wielkim.

Ewa nie była takim człowiekiem —

I wszyscy ci ludzie, którzy przeszli przez ogród jej życia, wszyscy ci ludzie nie byli silni.

Szli marzyciele-uczeni, szlachetni hrabiowie, poeci-idealiści, zbrodniarze, niedołężni budowniczowie powszechnej szczęśliwości i rybacy dusz, ale nie było człowieka, zwycięzcy, bohatera, króla. Nie było, bo być nie mogło, bo kędyż takiego człowieka szukać, gdzie on jest, czy jest?

Oto wiązanka kwiatów ludzkich z rozmaitych grzęd wziętych —

Pierwszy, co spotkał Ewę, to Łukasz. „Jestem silnym człowiekiem. Jestem najsilniejszy ze wszystkich ludzi na ziemi!“ Tak mówi Łukasz o sobie, tak kłamie i łudzi się. Bo w czemże ta jego siła? „Opuszczam Panią dobrowolnie, świadomie, w chwili tej, kiedy mógłbym Cię ujrzeć za parę godzin“. — Tragediante.

Wierzy w prawdę, w rzeczywistość swojej siły, mającej się wyrazić w tem, że odwleka chwilę zerwania kwiatu, odwleka po to, by koniec końcem później, w innym momencie, zerwać, uledz, a potem bezradnie uledz życiu, kraść, i być jak dziecko niezaradne wobec życia.

Daje się opętać żądzy, którą potrafi wspaniałemi słowami podnosić do godności jedynej wielkiej prawdy, mądrości, filozofii życia. A potem bezwolnie daje się targać falom żywota, łudząc się, że on nad niemi panuje, włada.

Świadomie i samowolnie nie zdobędzie się na rzucenie światu rękawicy, na połamanie małżeństwa, a skoro pchnięty żądzą ulegnie jej, to ulegnie ze wszelkiemi konsekwencyami porażki; wszystkich filozofów świata, od dzikich i półdzikich Australijczyków do mędrców Talmudu, filozofów greckich i nowożytnego Zaratustry, powoływać będzie na uświęcenie swojej zwykłej ludzkiej miłości i żądzy szczęścia. Będzie się czołgał u stóp Rzymu-Kościoła, w który nie wierzy i którego nienawidzi, a nie umie stanąć jemu wbrew. Będzie o swojej dla Ewy miłości pisywał listy piękne, a zostawi ją beztroskliwie wówczas, kiedy najbardziej będzie jej potrzebny. I ten człowiek nazywa siebie najsilniejszym z ludzi —

A obok hrabia Szczerbic, szlachetny hrabia, upajający się własną szlachetnością, powstałą na tle piękności Ewy. Gdyby Ewa nie była tak piękna, szlachetny hrabia nie pomyślałby zapewne wcale o szlachetności i pozostałby tym samym wykradającym cudze listy młodzieńcem. Tak zaś słowo dał i słowa dotrzymał, aż do końca prawie, aż znowu do chwili, póki nie nastąpiła zbyt ostra kolizya pomiędzy ponętą, jaką on kwiat wokrąg siebie roztaczał, a obowiązkami hrabiowskiej szlachetności; a wtedy nastąpiła rozterka, rozterka bolesna, któraby się wnet ze szkodą teoryi skończyła, gdyby nie opór Ewy.

To znów Jaśniach, Bandos, poeta, papierowe bomby rzucający w kołtuństwo, oddawna i bez skutku—Jaśniach w jakieś złote marzenia wielkości człowieczego ducha wpatrzony. Potrafi on sam jeden może w stosunku do Ewy zachować obojętność siły nadziemnego ducha, a może właśnie słabości schorowanego ciała. Ale cóż, kiedy ten słońce z niebiosów zrywać pragnący jest igraszką fortuny zielonego stołu w Monte Carlo. Cóż, kiedy tego człowieka, co marzy o wielkim przetworzeniu duszy człowieczej, o tem, że człowiek sam w sobie życie ludzkości przeżyć powinien, sam ludzkością się stać, tego Jaśniacha

poznajemy w tawernie pod domem gry, przykładającego rewolwer do skroni, a kilka tysięcy franków wracają mu życie, i, gdyby nie te kilka tysięcy, zginąłby święty prorok światłości.

Inny marzyciel szlachetny — Bodzanta. Spadkobierca Tomasza Moore'a, ogrodnik kwietnego sadu, w którym będą mogli swobodnie przekwitać ludzie—kwiaty. Marzenia ma piękne, ma dobrą wolę, w konstrukcyi tych marzeń pomagają w księgach zatopieni idealiści. I oto zasadził ogród kwietny, oto na stokach gór kieleckich, ze złomów marmuru wybudował kościół dziwny, nowy, niedokończony. — Tylko na wszelki wypadek zarezerwował dla córki niewielki kapitał, tylko zapomniał, że dzieło jego tak piękne, tak szczęściodajne umrzeć musi wraz z nim, bo nie potrafił dać mu podstaw życiowych, „hypotecznie marzeń swoich obwarować". I więcej jeszcze: ten wielki opiekun i Chrystusowy nosiciel przebaczeń dla „nadłamanych trzcin", znajdzie jeszcze, obok zarezerwowanego dla córki kapitału, również zarezerwowaną dla Ewy starczą żądzę, nałożnicę „sekretną" uczyni z Ewy, sam swoim marzeniom niedołężnie kłamiąc.

I wszyscy są tacy—okłamywacze, marzyciele, cienia realizatorskiej mocy w sobie niemający, mali, niedołężni, słabi.

I wszyscy oni, tak albo inaczej, wyciągają ręce po bezradny kwiat Ewę, gniotą piersiami jak Łukasz, otaczają parną atmosferą tłumionych pożądań, jak Szczerbic, zamykają w szpitalnym pokoju chorego, jak Jaśniach, wciągają w wir sekretnych rozkoszy, jak Bodzanta.

Wszystkich ich stworzyło życie, tak samo, jak stworzyło Ewę, i wszyscy oni, pomimo tych zabłąkanych w ich duszach promieni jasności, marzycielskich zdążań ku przyszłości, wszyscy, miast piękno i szczęście tworzyć wokrąg siebie, tworzą nędzę i krzywdę i rozpacz, bo wszystkich pęta brak twórczej siły, bo żaden z nich nie jest realizatorem, nie jest „napoleonem" w swoim zakresie, jak powiedziałby Mickiewicz.



MICHAŁ MARYAN POZNAŃSKI

Z tryoletów

AKT WIARY

Całą purpurą ludzkich serc rozpaczy
U stóp Twych płoną myśli mojej znicze;
Hołdem dla Ciebie drży mój płaszcz tułaczy
W krwawej purpurze ludzkich serc rozpaczy.
Czasem się w górze błyskawicą znaczy
Tajemnic pełne, mroczne Twe oblicze,
A u stóp Twoich w łunie serc rozpaczy
Wiecznie goreją myśli mojej znicze.

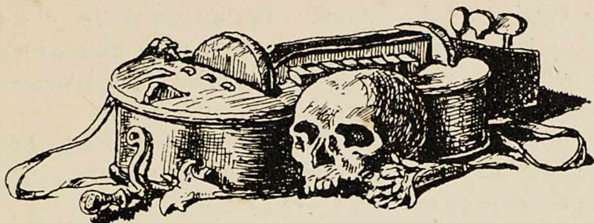
AKT MIŁOŚCI

Drży moja dusza, jak ofiarna świeca,
Przed Tobą, wielki, chmurny Adonai;
Pod Twoją dłonią, co pioruny wznieca,
Drży moja dusza, jak ofiarna świeca.
Pod Twoją dłonią, która świat ukwieca,
Lęk się i zachwyt w mojem sercu czai...
Drży moja dusza, jak ofiarna świeca,
Przed Tobą, wielki, chmurny Adonai.

AKT NADZIEI

Ufam, że w niebios przepaść lazurową
Zapadną wszystkie żale i tęsknoty
I Twoje stopy opłyną, Jehowo,
Tam, nad niebiosów tonią lazurową.
Omdleją światy. Twe mocarne słowo
Zatrzyma w biegu gwiezdne kołowroty, —
A nad niebiosów ciszą lazurową
Mgłą srebrną zasną żale i tęsknoty.





ANTONI SZECH

Z nad świeżej mogiły

(z powodu śmierci ks. Edwarda Miłkowskiego)

Zdjęto go z drzewa — i złożono w grobie cichym — na cichym wiejskim cmentarzu — gdzie sosny szumią stare — i smutne płaczą brzozy.

I szaty kapłańskie wdziano nań do trumny — i na ziemi poświęconej — choć samobójcę — złożono —

Wobec okrutnej tragiedyi jego losu i bezmiaru cierpienia w jego śmierci — nie śmieli pastwić się już nad jego trupem — ci, co mu goryczy nie szczędzili za życia —

I ci, co kamienie mieli tylko dla niego — szyderstwa — obelgi — zniewagi — pogardę — zamilkli wobec tej trumny — jakby wyrzut sumienia odezwał się w nich i zatargał im duszą — Ten i ów tylko — z tych, w których ani odrobiny ludzkiego nie zostało serca — ani krzty ludzkiej duszy — błotem cisnęli na ten grób smutny —

Ale czemuż aż tyle trzeba było — by ludzką w nas duszę rozbudzić? — Czemuż, dopóki żył on, — tak okrutni byli dla niego wszyscy? — Czemuż wtrącano go w tę otchłań — rozpaczy? — Kto winien temu? —

On zapewne! —

Powinien był mężnym być, — tembardziej, jeżeli do walki stanął i do takiej walki — powinien się na cierpienia w stal duchowej

mocy przyodziać — a ludzką pogardę w tejże mieć cenie — co chwałę i cześć — Powinien był w granit zmienić swą duszę — i w spiż zakuć serce, — by nie jęknęło — nigdy — by nie zapłakało ani razu — Powinien był iść — naprzód — kędy zamierzył — i wiedzieć, że pójdzie samotny — i to osamotnienie swoje ukochać —

I nie pragnąć serc ludzkich — ani ludzkiego współczucia — ni żadnej dłoni — przyjaznej — ni piersi bliskiego kogoś — by spocząć — w chwili, gdy zbyt ciężko sercu —

Więc on był winien —

Ale czemuż tak bezlitosne i bez serca było dlań społeczeństwo? —

Wolno było nie podzielać poglądów jego — dążeń jego — można było potępiać przedsiewzięcia jego — można było zwalczać jego zamiary — i walkę z nim toczyć — jeśli się widziało, że szkodliwą praca jego — To wszystko wolno — Ale pogardą okryć człowieka — za to, że śmiał przekonania mieć swoje — za to, że śmiał myśleć inaczej, niż wielu — — To się nie godziło —

Ale cześć mu odebrać, — ale obrzucić go błotem, by bezmyślny tłum oburzyć na niego — i wpływ mu uniemożliwić — to było wstrętne i podłe — Ale odmówić mu odrobiny litości ludzkiej w sercu — i kawałka chleba nieledwie, — by go do rozpaczy doprowadzić — to nieludzkie —

Jak to — ksiądz — mówią — i zdradził Kościół i odstąpił odeń? — Tak — ale to było jego przekonanie — Chciał służyć Kościołowi i został kapłanem. — Potem — po wielu bolesnych walkach i zawodach, po rozdzierających chwilach wewnętrznego konania, zwątpił o Kościele — więc miał odwagę i uczciwość wystąpić — Faryzeuszem — obłudnikiem być nie chciał, jak tylu — tylu, co bardziej może, niż on, wątpią, ale stanowiska i chleba zdobytego nie opuszczą — i żyją w kłamstwie — On za szczery był i za uczciwy —

Można było ubolewać, że stało się tak, — że on dawniejszą swą utracił wiarę, z którą mu pewnie i samemu było lepiej — Można było wpływ jego i pracę przeciw Kościołowi zwalczać — Ale prawości jego cześć oddać należało — Gardzić nim — i potępiać go — nie — —

Żądamy tolerancyi dla przekonań naszych. — Ileż to skarg było, żalów — na ucisk sumienia — Czemuż sami uszanować nie umiemy przekonań innych? — I ksiądz jest człowiekiem — myśli — myśleć mo-

że — i nieraz musi — a skoro myśleć może — więc i przekonania swe zmieniać —

Dzieckiem nieledwie kapłanem został — cóż dziwnego, że potem zmienił przekonania — i że konsekwentnym być chciał — i w zgodzie z sobą —

Potępili go katolicy — to zrozumiałe — i dziwić się niemożna nawet — zwłaszcza, że zawsze mało jest takich, którzyby naukę Chrystusa — „nie sądźcie“ — wzięli do serca i to zalecenie — „nadewszystko miejcie miłość“ — wcielili w życie. — Ale jak niegodnie postąpili wobec niego — i ci inni, — co o postępie mówią — co zasady liberalne głoszą — co sami na nietolerancyę się uskarżają — „Były ksiądz“ — to postrach i dla nich — Oni — choć nie wierzą sami — ale zanadto liczą się z opinią tych innych — i kompromitować się nie chcą — Zresztą zanadto nienawidzą księży, by kiedykolwiek przebaczyć mogli księdzu, że był księdzem. Sam rozmawiałem w swoim czasie o zmarłym z pewnym postępowym redaktorem, który mi powiedział, że przyjmie jego poezye do druku — chyba jeśli swojem nazwiskiem ich nie podpisze — Cóż powiedzą, jeśli on w swem piśmie poezye eks-księdza drukować będzie — —

Zaiste smutny to stan społeczeństwa — gdzie najprostsze zasady tolerancyi tak są nieznane — Znosi się obłudników — czci się nieraz faryzeuszów — chwali się kłamców — ale uniemożliwia się wprost życie tym — co śmią mieć własne przekonania — i w imię przekonań tych żyć i pracować — Jakże tu mówić o kulturze — o dążeniu naszem do rozwoju — o przyszłym cywilizacyjnym postępie Polski? — Cóż ten postęp pchnie naprzód — jeśli u nas myśleć niewolno i mieć własnych przekonań niewolno? — Kiedy u nas każdy musi mieć etykietę jakąś na sobie, już uznaną i mającą prawo obywatelstwa — A temu biada, co wszystkie patentowane etykiety zedrze — i swoje własne *ja* nosi na czole swojem — Kiedy u nas w powszechnej społecznej maskaradzie każdy w masce jakiejś być musi, uznanej już i przyjętej —

U nas dla ludzi, co chcą naprawdę być sobą, miejsca niema. A przecież właśnie tacy ludzie tworzą przyszłość.

Niekażdego los popchnie aż w taką otchłań rozpaczy, jak tego, o którym piszę, bo w podobnych warunkach zresztą rzadko się kto znajdzie — ale ileż u nas wycierpieć musi każdy człowiek, co przeko-

naniom swoim chce być wiernym — A jednak my mamy czoło skarżyć się, że względem nas nietolerancyjnie postępują inni—i szczycić się cywilizacyą — — Zaiste, małomiasteczkowa to cywilizacya!

I oto dzięki tej „tolerancyi“ naszej padł w walce życia — pod stosem obelg — nienawiści — pogardy — i niegodnych oszczerstw — człowiek w każdym razie wielkich zdolności i szczerze rwący się do pracy i czynu — Padł w wiośnie życia, dwadzieścia kilka lat licząc zaledwie – Padł, bo mu „cywilizowane“ i „tolerancyjne“ społeczeństwo nasze pracę i życie uczyniło niemożliwem. Padł wdodatku — z duszą łez pełną — a z sercem goryczą i bólem wezbranem — A przecież cóż łatwiejszego mu było, jak faryzeuszem zostać — komedyę grać — udawać? — Wtedy po rękachby go całowano, a przy zdolnościach wszystkie urzędy były mu otworem —

To takie było proste! Więc słuszna spotkała go kara —

Kłamać nie chciał — więc czyż godzien był żyć w społeczeństwie, które chce, by kłamano, i które kłamców tylko i tchórzów chwali — i kocha —

Tak — on śmiał być szczerym. Więc — śmierć mu —

Wiem, że tem, co piszę, ściągnę gniew na siebie i różne insynuacye, toteż nie ze strachu, ale — bym nie był źle zrozumiany — dodaję —

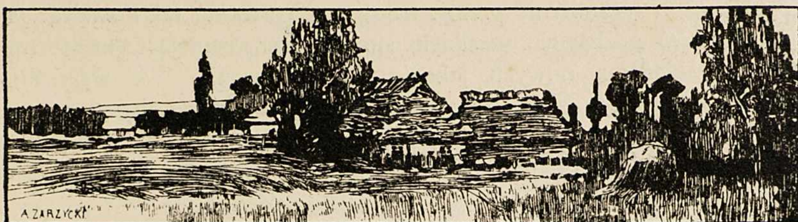
Nie podzielałem przekonań tego, o którym tu piszę — W pierwszym numerze „Protestu“ znajduję urywki listu mego do redaktora, z którym redaktor polemizuje — Piszę powyższe słowa, bo zbrodnia, której się dopuściło społeczeństwo nasze na nieszczęsnym, stwierdzoną być powinna — Sumienie społeczne do porządku dziennego przejść nad nią niema prawa. To czarna — z krwi zakrzepłej — na niem plama. To także „bandytyzm“ – bandytyzm społeczny, gorszy od zwyczajnego, co godzi w sam korzeń kulturalnego rozwoju narodu —

Piszę także, by cześć oddać człowiekowi, co cierpiał wiele — i co śmiał szczerym być i za przekonaniem iść swojem, choć tych przekonań jego nie podzielam —

I kłamstwem i faryzejstwem w życiu się brzydził — Cześć mu za to —

A tym hańba, co mu duszę napoili jadem i w otchłań go wtrącili rozpaczy —





ODROWĄŻ

Wywłaszczenie

A więc tryumf, tryumf na całej linii!.. Pruska Izba panów przyjęła 143 głosami przeciw 111 uchwałę o wywłaszczeniu bez żadnych zmian, tak jak ją wydał sejm. Wszelkie zmiany, poczynione w pierwotnym projekcie przez komisyę — upadły. Przyjęto wprawdzie wniosek Wedela, opiewający, że od wywłaszczenia wolne być mają grunty, które od lat dziesięciu nie zmieniły właściciela, ale uchwalenie późniejszego wniosku Adickesa pogrzebało zupełnie i to ograniczenie.

Dzień ostatecznej walki zastał cały aparat rządowy pod bronią. Stanęli do apelu wszyscy ministrowie pruscy. W loży dworskiej ukazał się następca tronu, by widokiem swoim podtrzymać walczących w obronie zagrożonej ojczyzny patryotów. Mogli więc mieć pewność, że zapał ich będzie należycie oceniony. Najgorliwszy był pan Adickes, nadburmistrz frankfurcki (hasło bojkotu nie wydało się widać zbyt groźnem niemieckim sferom przemysłowym), który zachowywał się nie jak poseł, ale jak zażarty ajent rządu. Rywalizował z nim godnie jakiś „baron von Tschammer“. Przedstawiwszy się Izbie, jako „wierny wasal jego Królewskiej mości“, oświadczył się jednak przeciw ustawie ze względu na zasadę nietykalności własności. Natomiast oświadczył, że należy rządowi *dodać* kilka milionów jeszcze na walkę z Polakami, byle walkę tę prowadzono inaczej. Pan von Tschammer

podał sposób niezmiernie prosty: należy raz nazawsze tak Polaków, jak i Duńczyków pozbawić wszelkich stowarzyszeń, istniejące już — rozwiązać, zakładania nowych jaknajsurowiej zabronić. Zaś wszystkich polskich działaczów, agitatorów skazać na dożywotnie ciężkie więzienie. Wtedy będzie spokój. Odnośną uchwałę *powinien* wydać parlament, bo „od czegóż jest on nareszcie, jeśli nawet takiej rzeczy niemożna od niego zażądać!"

Znamiennem jest, że ustawa o wywłaszczeniu przyjętą została w Izbie panów w tej właśnie formie, w której chciał ją mieć rząd. Przeciwników było wielu, a jednak głosowanie przyniosło znaczną mniejszość niechętnych. „Berliner Tageblatt" stara się uchylić zasłony tej zagadki i daje do zrozumienia, że śród intryg zakulisowych przeprowadził Buelow jeszcze jeden targ z konserwatystami: obiecał im, że w sprawie projektu reformy ordynacyi wyborczej do sejmu pruskiego życzenia konserwatystów będą najszerzej uwzględnione...

Jakkolwiekbądź, w Izbie panów zarysowały się wyraźnie dwa obozy. Przedstawiciele starych rodów, wyższych sfer szlacheckich oraz wielu wysokich (byłych i czynnych) dygnitarzy państwowych — to przeciwnicy projektu rządowego. Zaś sojusznikami rządu byli przedstawiciele burżuazyi, „uczeni", bankierzy. Głosowali więc za projektem między innymi: prof. Schmoller, bankier Mendelsohn, hrabia Eulenburg i t. d. Między przeciwnikami widzimy ks. Fuerstenberga (osobisty przyjaciel Wilhelma), marszałka hr. Haeselera (najwybitniejsza pruska znakomitość wojskowa), księcia Günthera szlezwicko-holsztyńskiego (brat cesarzowej), ks. Hohenlohe i t. d. Nawet kardynał Kopp, nawet ten zdeklarowany hakatysta, umiał być rozsądnym i, zezując żałośnie w stronę loży dworskiej, skreśliwszy wymownie cały ból serca, które, jako „wierne królowi i państwu", musi zawsze „ciężko odczuć, jeśli trzeba coś odmówić rządowi", — nawet kardynał głosował przeciw projektowi. Ale Kopp miał za sobą centrum, pamiętające jeszcze dobrze „Kulturkampf", miał i dyecezyan polskich, musiał więc zdecydować się na „ból serca", by uniknąć ostatecznej kompromitacyi.

Nie żaden też sentyment skłaniał junkrów, zasiadających w pruskiej Izbie panów, do głosowania przeciw projektowi rządowemu. Wielka własność ziemska we wschodnich dzielnicach państwa zaczyna coraz bardziej cierpieć na brak rąk do pracy na roli. Do zwiększania się tego dotkliwego braku przyczynia się bezpośrednio — polityka ko-

l
onizacyjna rządu pruskiego. Zaś na patryotyzm, będący jednocześnie zamachem na kieszenie, nie zgodzą się nawet najpatryotyczniejsi z junkrów.

Komisya Izby panów wydała urzędowe sprawozdanie z obrad swoich nad projektem ustawy o wywłaszczeniu. W sprawozdaniu tem znajdujemy niezmiernie ciekawe i charakterystyczne dane o stosunkach, panujących w dzielnicach polskich.

Sprawozdanie wymienia cztery przyczyny, które miały skłonić rząd do wniesienia wymienionego projektu, a więc: 1) zachowanie się ludności polskiej; 2) ciągłe zmniejszanie się ludności niemieckiej w dzielnicach polskich wskutek emigracyi; 3) zwiększająca się ilość zgłoszeń kolonistów niemieckich; 4) niemożliwe stosunki w handlu ziemią.

Najciekawsze sprawy porusza ów punkt 2-gi. Sprawozdanie twierdzi, że w ciągu dziesięciolecia 1896—1906 z rąk niemieckich w polskie przeszło ziemi o 75000 h. więcej, aniżeli z rąk polskich w niemieckie. Dane co do stanu posiadania w gminach i obwodach dworskich z lat 1905 — 1907 świadczą, że niemieccy właściciele pozbywają się ziemi. Drobna własność polska w ciągu lat 1905 — 1907 wzrosła o 5639 h., zaś takaż własność niemiecka w tymże okresie zmniejszyła się o 8628. Wielka własność polska zmniejszyła się w tym czasie o 1886 h., a wielka własność niemiecka o 26946 h. Tu dodać należy, że w okresie tym komisya kolonizacyjna nabyła z rąk niemieckich 126 dóbr rycerskich, zaś z rąk polskich tylko 26.

Weźmy teraz ogólną statystykę ludności. Zestawiając spis ludności z r. 1900 i z r. 1905, widzimy, że ludność polska wzrosła o 58785 głów, zaś ludność niemiecka w tymże czasie o 42880. A więc przewaga przyrostu ludności polskiej wynosi 16000.

Liczba Polaków na wsi wzrosła z 560131 do 590913, a więc przyrost wynosi 30782. Zaś ludność niemiecka na wsi wzrosła z 324810 do 334390, a więc przyrost wynosi tylko 9580. Obszary dworskie pod względem przyrostu ludności pomyślniej się przedstawiają dla niemczyzny.

A teraz miasta. W tym samym okresie czasu ludność niemiecka miejska wzrasta o 6,46%, a ludność polska o 11,3%. Oto bezpośrodni rezultat działalności komisyi kolonizacyjnej.

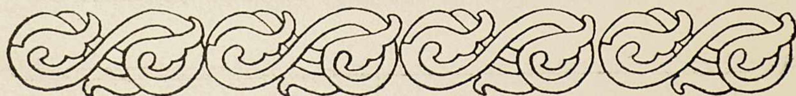
Statystyka zawodów i przedsiebierstw (Berufs—und Betriebsstatistik) z 12 czerwca 1907 również stwierdza ciągłe zmniejszanie się lu-

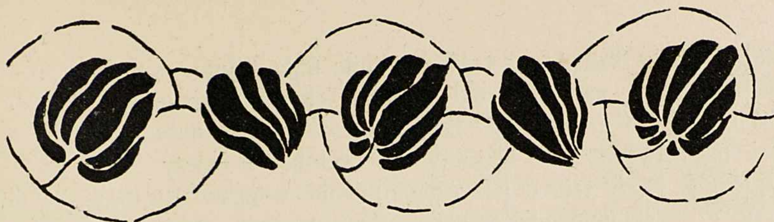
dności niemieckiej. Obliczenia tej statystyki wykazują, że w prowincyi Poznańskiej, w ciągu półtora roku, w gminach wiejskich ludność zmniejszyła się o 40000. Sprawozdanie komisyi Izby panów przypuszcza, że w tych 40000 więcej, niż połowa, przypada na Niemców. Jeśli zaś przypomnimy sobie, że komisya kolonizacyjna (opieramy się na dotychczasowej praktyce) w ciągu 3—4 lat osiedla na obszarze 70000 h. od 20 do 25 tysięcy kolonistów, a w ciągu półtora roku zaledwie z prowincyi Poznańskiej emigruje przeszło 20000 Niemców, — to nadzieje, pokładane przez rząd niemiecki w skolonizowaniu 70000 h., nie zdają się opierać na zbyt silnych podstawach.

Przyczyny emigracyi ludności niemieckiej z ziem polskich widzi sprawozdanie przedewszystkiem w niezadowoleniu Niemców, nie kolonistów, ale zdawna osiadłych. Ostatnich upośledza się niejako na rzecz nowych przybyszów. Koloniści korzystają z ulg i przywilejów, dawni mieszkańcy ponoszą jeno ciężary nowego systemu — tu należy zmiana w stosunkach szkolnych i kościelnych, koszty przeprowadzania nowych dróg i t. d. — Rządowy memoryał o komisyi kolonizacyjnej (20 Jahre deutscher Kulturarbeit) dowodzi, że koloniści przyczynili się w znacznej mierze do wzrostu podatków bezpośrednich. Jednakże ściśle przeprowadzona statystyka w powiatach, kolonizowanych, kolonizowanych mało i niekolonizowanych wcale, wykazuje, że koloniści nie wywarli żadnego wpływu na sumę podatków zarówno pośrednich, jak bezpośrednich.

Ludność niemiecka, zdawna osiadła w prowincyach polskich, widzi, że gwałtowne popieranie kolonizacyi przez rząd dzieje się z jej krzywdą. Jeśli dodamy do tego zupełne zdemoralizowanie handlu ziemią, spekulacye, podbijanie cen i t. d.; jeśli dodamy do tego lęk, że ustawa o wywłaszczeniu może się stać zczasem groźną nietylko dla Polaków, — zrozumiałe będzie zupełnie, że chłop i robotnik nie chce cierpieć „dla idei" i ucieka z ziem polskich, zniechęcony przez gospodarkę kolonizacyjną.

Wieś wyludnia się, a brak rąk do pracy nie mógł junkrów skłonić do popierania ze zwykłym zapałem projektu rządowego.





LEON WASILEWSKI

Po wyborach sejmowych

Wybory dobiegły końca. Bodaj że nigdy jeszcze nie było tak nudnych, tak mało ożywionych, z tak rozpaczliwą obojętnością traktowanych przez ludność wyborów sejmowych, jak obecne. Trafnie też przezwano je „zaspanymi“ wyborami. Nawet krzyczących nadużyć, jakie cechują normalne „wybory galicyjskie“, nie było tym razem tak dużo. Zaledwie jednego chłopa na Rusi zabito!... I to nie przy wyborze posła, lecz podczas prawyborów. Gdyby nie zacięta walka, jaką stoczyły wszystkie stronnictwa we Lwowie z Narodową Demokracyą, nie byłoby żadnego epizodu, jako tako zabarwiającego mdłą szarzyznę akcyi wyborczej, przeprowadzonej na tle dogorywającej, przez wszystkich potępionej ordynacyi dotychczasowej.

Tryumfować naprawdę mogą tylko dwa stronnictwa: ludowcy i moskalofile rusińscy. Pierwsi urośli do grupy poważnej 19 posłów, zdobywając czternaście nowych mandatów. Drudzy wchodzą do sejmu w liczbie 10-ciu, kiedy poprzednio mieli zaledwie trzy mandaty.

Ponieważ w artykule poprzednim obiecałem omówić charakterystyczną zmianę, jaka zaszła w stosunku partyj polskich do rusińskich, przeto zwrócę się odrazu do wytłumaczenia zagadkowego zwycięstwa moskalofilów.

Stosunek Polaków do Rusinów w Galicyi ulegał w ciągu lat kilkudziesięciu stopniowej ewolucyi, zawsze jednakże posiadał pewien rys znamienny. Jeśli bowiem pominiemy dawno przebrzmiałe hasło „Niema Rusi — jest tylko Polska i Moskwa!“, to zobaczymy, że wszystkie obozy polskie uważały za obowiązek narodowy zwalczanie przeciwników samodzielnego rozwoju Rusinów, jako odrębnego organizmu etni-

cznego. Bez względu na takie czy inne traktowanie potrzeb narodowych Rusinów, wszystkie partye polskie stały niewzruszenie na stanowisku, że tylko z Rusinami — narodowcami można mówić o jakichkolwiek ustępstwach, i że Rusinów — moskalofilów należy zwalczać bezwzględnie. Gdy szło o faktyczne robienie ustępstw Rusinom, czyniono je w myśl tendencyj narodowców, usuwając tem samem grunt z pod nóg moskalofilów.

I istotnie potężny niegdyś ruch moskalofilski w Galicyi kurczył się i topniał z roku na rok, z dnia na dzień. Każde zarządzenie, rozszerzające prawa języka rusińskiego w sądzie lub urzędzie, każde nowe gimnazyum rusińskie, każda nowa katedra rusińska na uniwersytecie lwowskim zadawały ciosy dotkliwe moskalofilstwu galicyjskiemu — tej roślince, hodowanej sztucznie i tracącej wszelkie szanse rozwoju w miarę ugruntowywania się ogólnoukraińskiej świadomości narodowej śród Rusinów.

O ile sfery urzędowe uznawały za konieczne brać w obronę Rusinów, czyniły to zawsze na korzyść żywiołu ukraińskiego. Moskalofilów traktowano jak wrogów, jeśli się tak można wyrazić, potrójnych. Ciążyli oni do Rosyi, więc byli separatystami względem idei państwowej austryackiej. Z tegoż samego powodu byli traktowani, jako nieprzejednani wrogowie Polski. Byli zwolennikami prawosławia, a więc przeciwnikami katolicyzmu. Jednem słowem, wszystkie względy natury polityczno-narodowej nakazywały partyom polskim zwalczanie moskalofilów, i lat temu dziesięć na polityka polskiego, któryby propagował popieranie moskalofilów przeciwko Ukraińcom, patrzanoby, jak na zdrajcę lub człowieka niepoczytalnego.

Tymczasem właśnie w ostatniem dziesięcioleciu stosunek wzajemny Polaków i Rusinów począł ulegać zmianom. Kwestya rusińska nabierała cech, które jej dawniej były obce. Z zagadnienia społecznego o barwie narodowościowej przekształciła się ona na zatarg narodowo-polityczny *par excellence*. W miarę zdobywania coraz to nowych koncesyj w dziedzinie praw narodowych, koncesyj, czynionych przez konserwatywną szlachtę polską, która w ten sposób chciała zabezpieczyć swe społeczne przywileje na Rusi, wzmaga się siła inteligiencyi rusińskiej. Rosnąc liczebnie, narodowa inteligiencya rusińska, wysuwa hasła nacyonalizmu, dążącego do zupełnego wyparcia Polaków z Galicyi Wschodniej. Jednocześnie występuje na widownię nacyona-

lizm polski, głoszony przez Narodową Demokracyę. Starcie się tych dwóch nacyonalizmów zaognia niesłychanie stosunki polsko-rusińskie. Inteligiencya narodowo-demokratyczna, rekrutująca się przeważnie z kół urzędniczych i zawodowych, broniąc polskiego „stanu posiadania" na Rusi, poczyna imać się zupełnie nowych środków walki z Rusinami Kiedy dawniej szlachta, skłonniejsza do czynienia koncesyj narodowych, niż społeczno-politycznych, opierała się jedynie na gwałcie i przemocy władz administracyjnych, inteligiencya narodowo-demokratyczna wciąga do walki z Rusinami szerokie koła ludności polskiej na Rusi i występuje jaknajostrzej właśnie przeciwko koncesyom narodowym. Ta to inteligiencya odkrywa na Rusi przeszło milion polskiej ludności chłopskiej i rozpoczyna ogromnie energiczną pracę uświadamiania jej pod względem narodowym. Zakładanie szkół polskich, czytelni, bibliotek po ulegających rutenizacyi koloniach mazurskich, urządzanie odczytów, wycieczek do Kalwaryi via Kraków, szerzenie specyalnych wydawnictw rusinożerczych, budowanie kaplic i kościołów łacińskich — wszystko to skierowuje walkę polsko-rusińską na nowe tory. Strajki chłopskie, organizowane przez Rusinów, pozwalają Narodowej Demokracyi pociągnąć i szlachtę do pracy, uświadamiającej wschodnio-galicyjski lud polski. Szlachta bowiem, zagrożona w swych interesach ekonomicznych, daje sobie wmówić, że polscy chłopi, uświadomieni narodowo, nie połączą się ze strajkującymi Rusinami. Walka chłopów rusińskich z polską szlachtą przekształca się bardzo szybko na walkę dwóch obozów nacyonalistycznych, nieprzebierających w środkach walki. Rusinożerczemu „Słowu Polskiemu" sekunduje polakożercze „Diło". Różni Budzynowscy i Petryccy otwarcie głoszą konieczność wyrżnięcia lub wytopienia „Lachów", z czego bardzo sprytnie korzystają politycy narodowo-demokratyczni. Orgia walki dwóch nacyonalizmów przybiera coraz ohydniejsze rysy. Dość tu przypomnieć krwawe burdy na uniwersytecie lwowskim, solidaryzowanie się polityków rusińskich z hakatą pruską i t. p.

Zwalczając dążenia narodowe Rusinów, zagrażające polskiemu „stanowi posiadania" w Galicyi Wschodniej, narodowi demokraci wcześniej czy później musieli zwrócić sympatye polityczne ku moskalofilom. Już w „Przeglądzie Wszechpolskim", w artykułach p. J. L. Popławskiego, spotykamy się z nieśmiałemi próbami zwrotu w tym kierunku. Próby były nieśmiałe, ponieważ chodziło tu o zerwanie z tra-

dycyą kilkudziesięcioletnią. Z czasem jednakże poczęto się odzywać w tym duchu coraz śmielej.

Narodowi demokraci i moskalofile posiadają jeden cel wspólny, jakkolwiek wychodzą z założeń wręcz odmiennych. Obydwom grupom chodzi o złamanie narodowego ruchu ukraińskiego, który narodowym demokratom przeszkadza rozszerzać polski „stan posiadania" na Rusi, moskalofilom zaś utrwalać rosyjskość. Stąd krok tylko do formalnego sojuszu dwóch tych antyukraińskich żywiołów. Narodowi demokraci rozumieją, że poparcie ruchu moskalofilskiego odbije się niekorzystnie na postępach Ukraińców, wnosząc do obozu rusińskiego rozdwojenie. Z drugiej znów strony ciż sami narodowi demokraci rozumieją, że propagowana przez moskalofilów rosyjskość gruntu na Rusi galicyjskiej nie ma, poważnie rozwinąć się nie może i Polakom żadnem niebezpieczeństwem nie grozi. I oto p. Buzek, narodowo-demokratyczny poseł ze Lwowa, podnosi myśl uznania jednego z głównych postulatów partyi moskalofilskiej: ogłoszenia języka rosyjskiego w Galicyi za krajowy.

Prasa narodowo-demokratyczna poczyna gorąco popierać moskalofilów, udowadniając, że jest to żywioł rozsądny, poważny, trzeźwy i t. d. Argumentacya ta bardzo przypada do gustu wszystkim żywiołom konserwatywnym, ponieważ maskalofile społecznie są partyą reakcyjną, obcą demokratyzmowi Ukraińców. Moskalofile ze swej strony też zaczynają kokietować Polaków — w prasie i w parlamencie wiedeńskim, gdzie posłowie „rosyjscy" biorą udział w manifestacyjnym proteście przeciwko Prusom z powodu wywłaszczenia Polaków.

Nie będę tu śledził krok w krok tej ewolucyi, jaką da się wyczuć w stanowisku galicyjskiej prasy konserwatywnej i nawet demokratycznej względem partyi moskalofilskiej. Dość tego, że podczas ostatnich wyborów sejmowych tak sfery rządzące w Galicyi, jak i poszczególne stronnictwa polskie na Rusi po raz pierwszy popierały przeciwko Ukraińcom moskalofilów. I tem się tłumaczy ich zwycięstwo. Kiedy narodowcy rusińscy zdobyli 8 mandatów, moskalofilów wybrano 10. Narodowcom przybył zaledwie 1 mandat, moskalofilom — 7.

Zwycięstwo moskalofilów nie jest bynajmniej wynikiem jakiegoś nagłego wzmożenia się prądów moskalofilskich wśród ludności rusińskiej. Moskalofile i teraz, tak samo jak uprzednio, stanowią grupę bardzo słabo liczebnie, utrzymującą się na powierzchni sztucznie, dzięki okolicznościom, nic wspólnego niemającym z naturalnym rozwo-

jem społeczeństwa rusińskiego. Ale tym razem kandydatów moskalofilskich popierały konserwatywne i narodowo-demokratyczne żywioły polskie — i w okręgach, gdzie przy powszechnem głosowaniu do parlamentu wybierano olbrzymią liczbą głosów Ukraińców, teraz powychodzili ich przeciwnicy. Przytoczę dane cyfrowe z paru okręgów.

Oto np. w okręgu posła do parlamentu, Ukraińca radykalnego, Trylowskiego, przy wyborach parlamentarnych padło na kandydatów ukraińskich 37000 głosów, gdy moskalofil rusiński i polski konserwatysta razem otrzymali około 9000 głosów. Przy wyborach do sejmu na tem samen terytoryum, stanowiącem dwa okręgi wyborcze, wyszli dwaj moskalofile. W okręgu zbaraskim przy wyborach do Rady państwa w r. 1907 kandydat moskalofilski zdobył zaledwie 2 tysiące głosów na 30 oddanych. Obecnie z tego okręgu za wpływem pana starosty wszedł do sejmu moskalofil. Przestarzała ordynacya wyborcza (jawne, pośrednie głosowanie) umożliwia takie niespodzianki, nic wspólnego niemające z rzeczywistem usposobieniem ludności. — Wobec takich wyników wyborów na Rusi, w sejmie lwowskim po raz pierwszy zjawia się nowa grupa narodowościowa — „Klub rosyjski". Wprawdzie i dawniej w sejmie lwowskim zasiadali moskalofile, lecz byli to ludzie nieco innego typu w porównaniu z takim d-rem Dudykiewiczem, który obecnie staje na czele „Rosyan" sejmowych. Moskalofile dawnego pokolenia różnili się od Rusinów-narodowców tylko większym konserwatyzmem i otwartą niechęcią do „chłopskiego" języka rusińskiego. Jednakże, marząc o zlaniu się kiedyś z Rosyą, w swej działalności sejmowej musieli liczyć się z realnemi potrzebami ludności, która ich wybrała, i popierać postulaty narodowców w dziedzinie rolnictwa, rozszerzenia praw języka rusińskiego w sądzie i urzędzie i t. d. Dudykiewicze stoją na zupełnie innem stanowisku. Są to otwarci nacyonaliści rosyjscy, domagający się uznania języka rosyjskiego w Galicyi za krajowy, szkół rosyjskich, katedr rosyjskich na uniwersytecie lwowskim i t. d. To, co dla moskalofilów starej daty było marzeniem, ukrytem na dnie serca, nowe pokolenie moskalofilskie traktuje jako program polityki realnej. Jakie będą skutki tego pozornego popierania moskalofilów przez polskie sfery konserwatywne i narodowo-demokratyczne, trudno na razie przewidzieć. Bądźcobądź jednakże można już zgóry twierdzić, że taktyka podobna nie przyczyni się do osłabienia antagonizmu polsko-rusińskiego w Galicyi Wschodniej.



MISERICORDIA



(As) Sprawa wywłaszczenia głośnem echem odbiła się na łamach prasy naszej. Stało się! — woła melancholijnie „Dziennik Poznański" i dodaje natychmiast: „Pogodzić się trzeba z tem i przygotować na to, w co trudno było uwierzyć"... „Czas" krakowski powtarza za „Dziennikiem" o proteście całego świata cywilizowanego (ankieta Sienkiewicza), a „Dziennik Polski" pociesza się, że „Słowiańszczyzna" nie odegrała jeszcze swej roli w dziejach, ale ją odegrać musi. „Dziennika Polskiego" nie widujemy, powtarzamy więc słowa jego za „Krajem": „Dziwnie się plecie na bożym świecie! Jesteśmy przekonani, że słowa, które wczoraj padły w Petersburgu, nie stały w związku z przedłożeniem rządowem pruskiem o wywłaszczeniu, ale przypadkowy ten zbieg okoliczności jest bardzo znamienny i bardzo szczęśliwy dla nas. Nie ulega bowiem wątpliwości, że słowa Cesarza, wypowiedziane z takim naciskiem, muszą znaleść echo w tych sferach Berlina, które są przedłożeniu przeciwne i stoją na gruncie konstytucyjnym"...

Ale ze wszystkich głosów prasy najsilniejsze wrażenie wywarł głos „Gońca Wielkopolskiego". Pismo to nawet w wywłaszczeniu widzi „zyski moralne". Tak jest, „Goniec Wielkopolski" stara się pocieszyć społeczeństwo widokiem płynących z wywłaszczenia korzyści. Bo zdaniem „Gońca" padną teraz „ostatnie przesądy kastowe", stany zbliżą się do siebie i nastąpi ni mniej ni więcej, tylko...... „równość ogólna"!.. Niekoniec na tem. „Wszelkie względy uboczne, krępujące pracę narodową, zginą bezpowrotnie... Wszystkie warstwy społeczeństwa połączy siła i moc nieprzezwyciężona", ale—co ważniejsze!—„odebranie ziemi obszarnikom podniesie z pewnością zaufanie ludu roboczego do nich, nieufność do panów zniknie w braku różnicy interesów, a wytworzy się pole działania bardzo wdzięczne", słowem, zapanuje raj na ziemi... w Poznańskiem.

Słowa „Gońca Wielkopolskiego" radosnem echem odbiły się na łamach wielu pism naszych. Doprawdy, wierzyć się nie chce, że te wszystkie brednie o „bardzo wdzięcznem polu działania", w chwili, kiedy ziemia zapada się pod nogami, że te bałamuctwa o „mocy nieprzezwyciężonej" w momencie najjaskrawszych przejawów bezsilności, o zniknięciu nieufności ludu roboczego do panów, że te deklamacye o „ogólnej równości", słowem, wszystkie pomysły „Gońca" prasa nasza traktowała seryo; a wierzyć trudno tembardziej, że ta sama prasa podawała jednocześnie wiadomość, według której minister spraw wewnętrznych w Berlinie zapowiedział, iż wywłaszczenie jest dopiero początkiem kampanii antypolskiej.

Można już dziś powiedzieć z całą pewnością, że gdy po ustawie wywłaszczenia (jeśli ta pozostanie bez odpowiedzi) przyjdzie ustawa nowa, jeszcze groźniejsza, to „Dz.

Pozn.“ powtórnie nawoływać będzie do pogodzenia się z losem, „Czas“ pocieszy się nową ankietą Sienkiewicza, „Dziennik Polski“ ujrzy znowu punkt oparcia w Słowiańszczyźnie, a „Goniec Wielkopolski“ zadeklamuje raz jeszcze o zyskach moralnych i „mocy nieprzezwyciężonej“...

Jeśli nawet w zbrodniczem podeptaniu godności ludzkiej część prasy naszej znajduje pociechę, to w czemże pociechy tej nie dostrzeże?

(JG) „Wszelka zdobycz bez względu na to, jaką drogą osiągnięta, może się stać podstawą pomyślności narodu i jego postępu...

„Niemiec, który, widząc, że w interesie państwa pruskiego trzeba podbić dla kultury niemieckiej Poznańskie, osiądzie sam i całą swoją energię obróci na umacnianie w naszym kraju niemczyzny, który będzie przygarniał dzieci polskie i uczył je po-niemiecku, który w posiadłości swej zorganizuje zarząd niemiecki i wpływem kulturalnym otoczenie swe będzie przerabiał na Niemców, który będzie zakładał niemieckie instytucye filantropijne — *tylko szacunek we mnie wzbudzi*“...

Tak pisał p. Dmowski w “Myślach nowoczesnego Polaka“, a teraz organ jego, „Gazeta Codzienna“, zapełnia szpalty głosami oburzenia z powodu *haniebnego, niesłychanego, zbrodniczego* „prawa“ o wywłaszczeniu.

Jest to niekonsekwencya oraz sprzeniewierzenie się powtórne: przedtem — staroczesnej ideologii polskiej, a obecnie swej własnej — wszechpolskiej.

Co będzie dalej — któż zgadnie?..

(st) Prasa nasza istotnie trzyma rękę na t. zw. pulsie społeczeństwa. Gdy puls ten drgał przyśpieszonem tętnem karnawałowem, szpalty dzienników były przepełniane listami szczodrych „gospodyń“ balów, imionami myślących o wytańcowywanej nędzy wodzirejów i opisami toalet uroczych danserek, czyniących tej nędzy ulgę—szalonym ruchem pięknych nóżek. Gdy zaś puls ten z natury rzeczy osłabł wielkopostnie, prasa się opatrzyła również i zaczęła moralizować na temat przyśpieszonego, a więc niezdrowego, tętna karnawałowego. Czujni reporterkowie używają na „obywatelskości“, wiedząc, że nie narażą się już teraz ani szczodrym gospodyniom, ani myślącym wodzirejom, ani pięknym nóżkom. Oj, czas wprawić w szalony ruch nie drobne nóżki, lecz tęgie nogi i wykopać za nawiasy słowa drukowanego roznosicieli bezmyślności i obłudy!..

(JG) Byłem w charakterze sprawozdawcy na balu artystycznym młodej sztuki. Bal był świetny, sala ozdobiona pięknymi witrażami i oryginalnym fryzem. W tłumie fraków snuły się korowody kostyumów przeważnie z przeszłości. Był więc z zamierzchłych czasów pogańskich faun napróżno poszukujący nimfy, była biblijna Salome z obnażonemi plecami, zawracająca głowy najświętszym Janom, Krzyżak i wieki bliższe: Velasquez, Rembrandt, czasy dyrektoryatu, wreszcie ułan i karmazynowa szlachcianka — wszystko przeważnie z bibułki. Kwitły też rośliny egzotyczne i swojskie — irys, mak, a z owoców dwa winogrady—jeden tak bujny, że brała ochota zostać pracownikiem w tej winnicy pańskiej. Ale największem powodzeniem cieszył się symbol.

Cała publiczność: poważni mężowie, elegancka filisterya, otyła burżuazya — składała mu w postaci kwitków dyplomy uznania, dowody podziwu i szczerego zachwytu. Sympatya ta dorównywała niemal awersyi, jaką większość ich czuła dla rzeczy, którą wyobrażał; dystans, na który się doń ciśnięto, wyrażał się w stosunku wprost odwrotnym do odległości, na jaką uciekano od sprawy usymbolizowanej.

Ta nagła zmiana frontu tłumaczy się tem, że jedno skrzydlo symbolu wlokło się po ziemi podarte i strzaskane, drugie choć rozpostarte, jako papierowe nie budziło grozy, miecz, aczkolwiek wielki, był tylko pofarbowany na kolor krwi i w dodatku drewniany. Wszystko świadczyło, że jest to upostaciowanie rzeczy jakoby minionej, przebrzmiałej niepowrotnie i już wcale nieaktualnej — prócz sznurów i czaszek opasujących głowę, o których jednak w rubryce balu pisać niepodobna.

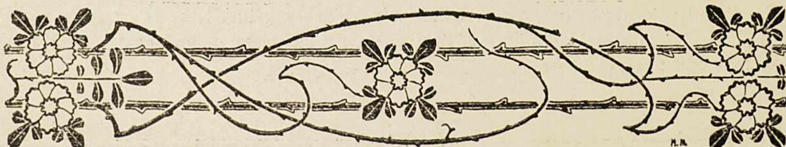
(zig — zag) Po upływie dwóch miesięcy od czasu pierwszego przedstawienia „Bolesława Śmiałego“ Wyspiańskiego na scenie Warszawskiego Teatru Wielkiego, jedno z przedstawień zaszczyciła obecnością swoją rodowa arystokracya tutejsza. Nazwisko Wyspiańskiego stało się tak głośnem, że niepodobna było tej ciekawostki nie zobaczyć. Otóż przyszli do theatrum bracia i siostry, krewni i krewne hrabiego Henryka z „Nieboskiej“, aby, ujrzawszy idącą trumnę, padającego na ziemię rapsoda, zaśmiać się śmiechem serdecznym. Stanisław hr. Tarnowski nie jest dziwakiem, ani zdziecinniałym starcem, gdy pisze głupstwa o literaturze polskiej. Przedstawia typ ludzi, posiadających psią naturę, to jest tylko trzy zmysły: dotyk, smak i powonienie Brak wyobraźni.

(JG) W „Słowie“ ukazał się „nadesłany“ (co za przezorność!) i podpisany literą W. (zbyteczna tajemniczość!) artykuł tak dworski a jednocześnie zuchwały, że wydziera z piersi okrzyk: — O, cześć wam, panowie magnaci!...

(G. I.) Po przeczytaniu artykułu pana ST. GR. w „Tygodniku“ zjawia się pytanie: w czyjej masce występuje jego autor i ile rubli otrzymał za spełnienie swego „rzemiosła“?...

(st) ...podobno jednak względy rodzinne nie znaglą wodza „prawdziwych demokratów“ do usunięcia się w zacisze domowe. Z tego można się cieszyć... Ale, do dyaska, czyż już niema innych względów?!

(zbi) *Darmstadt, 8 marca* (tel. wł.). Sympatyczna depesza „Nowej Gazety“ przesłana prezesowi sejmu heskiego z powodu potępienia przezeń antypolskiej polityki rządu pruskiego, wywarła w całej Hesyi piorunujące wrażenie.



Jüdische Sprichwörter und Redensarten gesammelt und erklärt von *Ignaz Bernstein* unter Mitwirkung von *B. W. Segel.* Warschau 1908. (Przysłowia i zwroty żydowskie, zebrane i wyjaśnione przez *Ignacego Bernsteina*, przy współudziale *B. W. Segla*, Warszawa, 1908). Wydanie 2.

Książka pisana jest w żargonie żydowskim z jednej strony literami hebrajskiemi, z drugiej — łacińskiemi. Autor w przedmowie wyjaśnia, że używa *narzecza* podolsko-wołyńskiego, a nie żargonu. Wyraz ten uważa za niewłaściwy i obiecuje to w osobnej pracy uzasadnić. Na tem miejscu spierać się z nim o to nie będę, nie weźmie mi on wszakże za złe, że używać będę utartej nazwy żargon. Otóż różnica pomiędzy żargonem podolsko-wołyńskim a innymi, jak polskim, litewskim, galicyjskim, tkwić ma właściwie tylko w wymowie, w pisowni jej prawie niema. Autor wybrał żargon podolsko-wołyński dlatego, że, jak mówi, z pomiędzy żydów największa ilość posiłkuje się tym właśnie żargonem. Materyał czerpany przeważnie wśród żydów polskich i galicyjskich (co właśnie nadaje tej książce wartość z naszego stanowiska), a celem wydawnictwa jest zachowanie tych zabytków życia żydowskiego, którym grozi zagłada z powodu zmniejszającej się stale ilości ludzi, używających żargonu. W książce jest 3993 przysłów i zwrotów. Ludzie, znający język niemiecki, przy pomocy dołączonego słownika żydowsko-niemieckiego z łatwością książkę p. Bernsteina czytać mogą. Wśród przysłów znajdą wiele znanych i w języku polskim, co nasuwa ciekawe pytanie: kto tu zaciągał pożyczkę,—w każdym zaś razie dowodzi silnego oddziaływania wzajemnego. Książka ułożona jest sposobem słownikowym. Pod każdym wyrazem znajduje się odpowiedź, zwroty i przysłowia. Najciekawsze według mnie są te, w których wyrażana jest opinia żydów o sobie i o „gojach". Znajomość wzajemna tych współmieszkańców naszego kraju jest tak niewielka, a źródła znajomości żydów tak nieliczne, że nabiera znaczenia wszystko, co rzuca choć promień światła na tę nieznaną krainę. Z innego jeszcze względu ciekawe jest to, co żydzi mówią o sobie. Uwydatnia się tu zjadliwa ironia i samokrytyka, która tak charakterystycznie wyróżnia żydów wśród innych narodów. W zbiorze p. Bernsteina znajdujemy prędzej jakiś wyraz uznania dla „gojów", chociaż i to nieczęste, niż dla żydów. Dla zapoznania czytelników z charakterem materyału zawartego w książce p. B., przytaczam niektóre przysłowia, zamieszczone pod wyrazami: „goj", żyd, polak, polski:

1. Goj to zły robak.
2. Goj w dzieciństwie jest mały—gdy dorośnie, jest duży; a żyd odwrotnie.
3. Goj nabiera szacunku dopiero wtedy, gdy dostanie pierwszy policzek.
4. Kiedy u gojów jest kiermasz (zabawa), biją żydów.
5. Goj nie jest przyzwyczajony do nieszczęścia.
6. Żyć — z gojami, umierać — z żydami.
7. Lepiej być w gojowskich rękach, niż na żydowskich językach.
8. Zły to znak, kiedy żyd gwiżdże, a szlachcic (puryc) drapie się za uchem.
9. Żyd i wilk nigdy nie włóczą się napróżno.
10. Żyd może być taki lub owaki, ale nigdy nie jest głupi.
11. Żydowi nigdy nie należy dawać tyle, ile żąda (według wyjaśnienia autora dlatego, iż wtedy żyd będzie się martwił, że nie zażądał więcej).

12. Żyd wszystkiego ma zamało, tylko rozumu ma dosyć.
13. Złam bułkę: ze środka wyskoczy żyd.
14. Żyda mniej trapi własne nieszczęście, niż cudze powodzenie.
15. Żyd bije i sam krzyczy gwałtu.
16. Żydzi dziedziczą po przodkach: zmartwienia i hemoroidy.
17. Z żydem jest dobrze jeść kugiel, ale nie z jednego talerza.
18. Mojżesz także nie mógł dać sobie rady z żydami.
19. Bogactwo żydowskie jest, jak marcowy śnieg.
20. Żydowskiej obmowy w dziesięciu wodach zmyć niemożna.
21. Gdy żyd jest głodny—śpiewa, a chłop wtedy bije babę.
22. Co mi pomoże, że mówię popolsku, kiedy mnie na dziedziniec nie wpuszczają.
23. W Polsce wszystko jest krzywe, tylko schody są proste.
24. Warszawiak jest mądry tylko do rogatek. *i. p.*

═══ *Marcelina Kulikowska.* W promieniach. Powieść. Lwów. Polskie Towarzystwo Nakładowe. 1908.

Na tle niezmiernie wątłej i rozstrzelonej akcyi powieściowej rozrzucone luźne epizody prac i walk rewolucyjnych, sylwetki pobieżne nieprzeliczonych typów, urywki waśni partyjnych, zaznaczone przelotnie odcienie różnych stronnictw — wszystko w szczególnym jakimś locie i wichrze niewiarogodnego mnóstwa wyrazów. Jedynym niemal środkiem technicznym autorki jest narracya, tu i owdzie usypana tylko strzępkami dyalogów, których w tym tonie i dziwacznem tempie nikt z ludzi nie zdołałby prowadzić (np. rozmowa Abrahama z Józefem na str. 60—66, rozmowa Siłacza z Teosią). A oto *opowiedziana* mowa wiecowa: „Przekladał, jako to jest złe i nieetyczne, i niegodne ludzi i ducha wielkiego, i kultury i t. d. i t. d..... prowadzić podjazdowe wojny, chytrze nieprzyjaciela w pole wyprowadzać, naigrawać się nad nieświadomymi i t. d. i t. d." – Taki artystyczny sposób streszczania przemów nie jest przyjęty nawet we wzmiankach dziennikarskich już pod żadnym pozorem nie powinien przedostawać się do literatury. Natomiast wyłowione z powodzi różnych apostrof, dygresyj, banalności niektóre fragmenty opisowe, niektóre stany psychiczne (np. wrażenie, jakie wywarła na Teosi śmierć Józki) świadczą, że przy pewnej pracy i staranności pani Kulikowska byłaby w stanie napisać powieść daleko lepszą, niż „W promieniach". *Z.*

═══ *Marya Płażkówna.* Obudzeni. Wydawnictwo księgarni Albin Standacher i Sp. Stanisławów. Jan Fiszer. Warszawa, 1907.

Tematy ciekawe, nowoczesne, czerpane przeważnie z dziedziny subtelnych konfliktów życia erotycznego, spostrzeżenia niepozbawione pewnego zmysłu psychologicznego, wynurzenia, posiadające zaletę szczerości—są tu podane w formie najzupełniej prymitywnej, wprost niedołężnej. Autorka posługuje się językiem nieliterackim, używa szablonowych zwrotów mowy potocznej. Ta dysproporcya treści i formy pozbawia zawarte w tomie utwory wszelkiej wartości artystycznej. Pomysły niektóre, jak „Siłacz" lub „Miłość", w innem opracowaniu mogłyby dać dosyć trafną charakterystykę zawiłości uczuciowych. Najbardziej sharmonizowana jest w tym zbiorze nowelka p. t. „Wiosna". *Z.*

Redaktor i Wydawca: H. St. Pytliński **Druk Piotra Laskauera i Sp.**

Druk Piotra Laskauera i S-ki. Warszawa, Nowy-Świat 41.